RODZINA I DZIECKO

N. 4

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ:

NR. 4 KWIECIEŃ 1937 ROK II

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

DR ANDRZEJ NIESIOŁOWSKI.

PERSONALIZM W POKOJU DZIECIĘCYM.

Wychowanie domowe jest dziedziną życia, w której wciąż jeszcze działania odruchowe i tradycyjne przeważają nad działaniami planowymi, tj. opierającymi się na jakiejś uznanej zasadzie i zracjonalizowanych metodach. O ile przyjrzymy się bliżej nieco temu, co w przeciętnym domu inteligenckim — o innych już nie mówiąc — uważa się za działalność „wychowawczą", to natrafimy przede wszystkim na odruchy zirytowanych rodziców, zaznaczające się w mniej lub więcej opanowanej formie nagan i kar, albo i tanie nauki moralne, które spływają jak woda bez żadnego śladu. Podstawa wychowawcza streszcza się najczęściej w stwierdzeniu wad dziecka i naszej wobec tego faktu bezradności. Jeśli się zaś w końcu zdobywamy na jakieś środki zapobiegawcze, to stoją one na poziomie myślenia magicznego. Człowiek inteligentny drwi sobie z „zamawiania" krowy przez wiejską „mądrą", nie zdając sobie z tego sprawy, że jego działania często pozostają na tym samym stopniu, o ile chodzi o ich możliwą skuteczność ze stanowiska już osiągniętego doświadczenia. Powiedziano, że z wszystkich dziedzin działalności ludzkiej wychowanie pozostało na najniższym szczeblu skuteczności i to pomimo, że tyle już na ten temat napisano książek i rozpraw.

Smutny ten stan rzeczy ma swoje głębsze przyczyny. życie domowe najpóźniej stosunkowo stało się przedmiotem refleksji. Pedagogika zajmowała się zawsze, co jest zresztą zrozumiałe, wychowaniem szkolnym, które jako działalność zinstytucjonalizowana, fachowa, było przedmiotem studiów i przygotowania fachowego, niestety — raczej sprowadzającego się do zdobycia pewnych formalnych uprawnień (dyplomów), a nie do rzeczywistego opanowania techniki wychowawczej. To też i w szkole skuteczność wychowania wciąż jeszcze pozostawia wiele do życzenia. Pojawiły się nawet poglądy, kwestionujące możliwość wychowania dziecka i podkreślające, że wychować skutecznie można t y l k o d o r o s ł e g o, który posiada już przeżycia, do których nawiązać może wychowanie. Tezę taką postawił już sto lat temu wielki „prorok północy", twórca uniwersytetów ludowych, Mikołaj Seweryn Grundtvig. Innymi zupełnie drogami doszedł do analogicznych wniosków nasz wielki socjolog polski,

prof. Znaniecki. Nie trzeba nam jednak iść tak daleko. Przyczyny niepowodzeń wychowania domowego należy raczej szukać w fakcie, że jest to dziedzina, w której wciąż jeszcze panuje technika tradycyjna, z której już nawet kuchnia (dzięki naukowej organizacji gospodarstwa domowego) poczyna się wyzwalać. Ta technika tradycyjna zna tylko dwa zasadnicze środki oddziaływania wychowawczego: pouczenie i sankcje karne, zwykle mało przemyślane, często nie wychodzące poza poziom odwetu starszych. Rzadko stosunkowo stosuje ta technika i nagrodę czy pochwałę, lecz wpadając przytem aż nazbyt często w zupełnie niepedagogiczne zachwyty nad „nadzwyczajnymi" wyczynami różnych „cudownych dzieci".

Bezplanowość tych poczynań wynika z braku jakiejś świadomej ideologii wychowawczej, jak i z nieświadomości praw psychologicznych i socjologicznych, na których oprzeć się musi wszelkie działanie wychowawcze.

Ilość rodziców, zastanawiających się nad celem i ideałem wychowania, jest u nas jeszcze bardzo nieznaczna. Nie można jednak powiedzieć, by echa różnych doktryn nie docierały w formie mniej lub więcej fragmentarycznych odprysków i do naszych pokoi dziecięcych.

Epoka indywidualizmu liberalnego wycisnęła silne piętno na ideologiach wychowawczych. Zrodził się kult indywidualności „małego człowieka", przyznający mu prawo do pełnego wyżycia się, chociażby kosztem przez dawnych wychowawców tak akcentowanej dyscypliny i subordynacji. Doprowadzono to do absurdu. Pewien pedagog tego kierunku ukuł taką maksymę: „Jeśli ojciec ma prawo powiedzieć: Jasiu przestań teraz bębnić, bo ja chcę pracować" — to tym samym Jasio może powiedzieć: „Tatusiu, przestań pracować, bo ja chcę bębnić". Istotnie, jak równość, to równość. A dla Jasia bębnienie jest tak samo ważne, jak dla jego ojca praca... Po linii tego kierunku leżało „nie obcinać pędów" młodego drzewka i sublimować każdą jego wybujałość. „Dobrze, że jest uparty, bo to dowód charakteru". Lubi psocić? To jest dowód aktywności. „Chłopak musi być dziki". Teroryzuje młodsze dzieci? To natura władcza. Dojdzie daleko.

Te nieobcinane pędy istotnie wyrastały bujnie. Wyrosło w naszym pokoleniu wielu wyzyskiwaczy społecznych, brutalnych egoistów, ludzi niezdolnych do współżycia rodzinnego, szukających ratunku w częstej... zmianie małżeństwa.

Nie przyniosła nam lepszego ujęcia celów wychowania domowego reakcja antyindywidualistyczna, płynąca pod sztandarami kolektywizmu. Marksizm interesował się jedynie wychowaniem do walki klasowej, odrzucał on ideał miłości bliźniego, jako „hamujący energię proletariatu", a w wychowaniu domowym widział tylko czasowy surogat wychowania kolektywnego, które jedynie może być „fachowe i sku-

teczne". To też nie wniósł on tu żadnej myśli twórczej, przeciwnie, wprowadził fatalne odwrócenie uwagi od zagadnienia najważniejszego.

Obecnie jesteśmy świadkami narodzin nowego ideału, który nam Polakom będzie bliższy, niż importowane idee kolektywistyczne, a mniej niebezpieczny, niż schlebiający naszej tradycyjnej wadzie narodowej indywidualizm.

Tą nową ideologią wychowawczą jest personalizm.

Założeniem personalizmu jest uznanie istnienia niematerialnej, a więc niezniszczalnej duszy ludzkiej, która wysuwa się siłą rzeczy na pierwsze miejsce drabiny hierarchicznej wartości. Ponieważ rozwój duchowy człowieka zależy nie od jego zdobyczy materialnych ani od wyżycia się w dziedzinie instynktów, lecz przeciwnie od ich ujarzmienia, a prawem postępu duchowego jest ofiara (co swego czasu tak genialnie wyraził Juliusz Słowacki), więc ideał taki będzie wymagał ciągłej pracy nad sobą. Jest to w kwintesencji jedynie pewne pogłębienie i odnowienie postawy religijnej. Jest to owa „dynamiczna" religijność, która różni się tym od „statycznej" tradycyjno-konwencjonalnej, że wprowadza powiązania bliższe między doktryną a życiem codziennym[1]).

Jeśli nas wszystkie oznaki nie mylą, personalizm będzie doktryną pedagogiczną naszego jutra.

Nowe te idee rzucają swój odblask na pokój dziecięcy.

Innym już okiem spojrzymy ze stanowiska personalizmu na nasze dzieci.

Postulat rozwoju młodocianej osobowości nie będzie już sublimacją „swawolnego Dyzia" ani podziwianej i psutej przez wszystkich „ślicznotki" czy „cudownego dziecka". Personalizm — to regeneracja tak ważnego ze stanowiska potrzeb państwa ideału karności i subordynacji. „Prawo do bębnienia" nie jest już równorzędne z pracą ojca. Dziecko musi się od młodu naginać, właśnie dla rozwoju swej osobowości, która się kształtuje przez służbę, karność i ofiarę. „Mały tyran" z okresu „stulecia dziecka" zostaje teraz zdetronizowany. Lecz nie znaczy to, że dziecko straciło na znaczeniu. W przeciwieństwie do kolektywizmu, dla którego życie niewielką ma wartość, personalizm podnosi niezwykle wysoko poczucie odpowiedzialności rodziców, gdyż rozszerza on tę odpowiedzialność na losy wieczne. Uprzytomnienie sobie całej wielkości tej odpowiedzialności musi wywołać poprostu wstrząs moralny, którego nie zwalczą nawet najbardziej wierzący rodzice z okresu statycznej religijności, którzy mimo wszystko na ogół nie patrzyli dalej, niż do początków czy też kresu kariery społecznej czy materialnej swych latorośli. Personalizm uczy, że nie jest istotne, czy dziecko zdobędzie wysokie stanowisko, które nie daje szczęścia nawet doczesnego, a również nie przynosi pożytku społecznego,

---

[1]) Patrz na ten temat publikację docenta Karola Górskiego „Wychowanie personalistyczne", Poznań 1936, oraz pracę autora „Wychowanie społeczne", Poznań 1936.

któremu nie zależy na wielkiej ilości ludzi dyplomowanych, lecz na tym, by każdy znalazł się na tym miejscu, do którego go jego zdolności i kwalifikacje naturalne przeznaczają. Utrwalenie się tych pojęć jest wyśmienitym antydotum przeciw dążności rodziców do forsowania niezdolnych dzieci za wszelką cenę do szkół wyższych. Personalizm wskazuje pracę nad charakterem jako cel najważniejszy, wobec którego inne zadania schodzić muszą na plan drugi.

Tworzy się nowy ideał wychowania. Nie jest on łatwy do urzeczywistnienia. Dziecko ma więcej jeszcze naturalnego egoizmu niż dorosły. Jest ono zdolne do silnych wzruszeń litości, ale i do dzikiego i bezmyślnego okrucieństwa. Dziecko żyje (w okresie przedszkolnym i wczesnoszkolnym) w krainie fantastycznej swego świata zabawowego, lecz w świecie tym zachodzą realne konflikty i realne problematy moralne. Umiejętne wychowanie może i musi do tych przeżyć kręgu zabawowego nawiązywać, traktując je tak na serio, jak je samo dziecko traktuje. Zasadniczo są to te same, co w życiu realnym, konflikty, tylko projektowane w świat fantazyjny. I dla tego można i do dziecka trafić z pojęciami moralnymi, które niesie personalizm. Drogi do uprzystępnienia i przyswojenia dziecku kompleksu pojęć moralnych wskazało nam już harcerstwo. Genialność koncepcji wychowawczej Baden - Powella polegała właśnie na tym, że potrafił on te z natury rzeczy nudne (dla dziecka), i niemiłe, bo krępujące jego naturalne popędy nakazy moralne powiązać z jego zabawą i narzucane normy uczynić jego normami, uznanymi za obowiązujące przez krąg rówieśników i „swoją" młodzieżową organizację. Oczywiście rozbudowa nieodzownej zresztą opieki nasuwa tu niebezpieczeństwo, że ci opiekunowie staną się kontrolerami moralnymi, a przez to samo ideologia moralna stanie się nie przyjętym dobrowolnie, „swoim" ideałem, lecz tym, czym jest w szkole — narzuconym przez starszych kompleksem zakazów i obowiązków.

W wychowaniu domowym napotykamy na te same problematy. I tu chodzi o to, by dzieci uznały same potrzebę panowania nad sobą, odmawiania sobie przyjemności, ćwiczenia się w usłużności i pomaganiu słabszym. Idee moralne mają tę wielką zaletę, że są zrozumiałe dla umysłów najprymitywniejszych. Dziecko na szczęście, nim w okresie pokwitania zacznie się okres „pierwszej przekory", jest nastawione receptywnie i przyjmuje chętnie (i bezkrytycznie) pouczenia ze strony rodziców. To jest okres decydujący, w którym trzeba wszczepić fundamentalne zasady etyczne. Samo to wszczepianie, o którym zresztą na ogół u nas zawsze myślano, nawet na niewysokim poziomie społecznym, nie prowadzi do niczego, jeśli za nim nie będzie stać siła największa p r z y k ł a d u. Na co zda się wykład ojca czy matki o panowaniu nad sobą, lub o „ustępowaniu mądrzejszego", jeśli rodzice sami popisują się przed dziećmi nieopanowaniem swych odruchów. Albo: po wielkim wykładzie o prawdomówności odzywa się dzwonek, a mamusia mówi do dziecka: jeśli to kra-

wiec z rachunkiem, powiedz, że mnie nie ma w domu. Albo w kolei: mów, że jeszcze nie skończyłeś dziesięciu lat, bo inaczej trzeba by cały bilet zapłacić. Te małe kłamstwa codzienne uchodzą za rzecz tak niewinną, że nawet się nad tym nie zastanawiamy. Personalizm wprowadza tu inne pojęcia. Wartość moralna czynu wysuwa się ponad jego krótkodystansową celowość. Zasada prawdomówności jest ważniejsza, niż oszczędność na bilecie. Odpowiedzialność za zły przykład, za który Ewangelia groziła kamieniem do szyi przywiązanym, staje się przeżyciem do głębi przeobrażającym człowieka.

Jak będą się z punktu widzenia personalistycznego przedstawiać poszczególne zagadnienia „pokoju dziecięcego", nad tym zastanowimy się później. Dziś chodziło nam o sformułowanie pewnej nowej postawy wychowawczej, która może otworzyć przed nami nowe horyzonty [1]).

Stefania Szuchowa.

„MŁODZIEŻ JEST ŹLE WYCHOWANA".

Ostatnio w prasie i wśród wychowawców żywo omawiano sprawę złego wychowania młodzieży. Mówiono i pisano ze smutkiem lub zgorszeniem o złych obyczajach, a jeszcze więcej o „złych manierach" młodzieży. Mówiono, że widok, który powinien radować oczy, widok młodych — budzi często niesmak i niechęć. Dochodziło do tego, że przypadkowa, ale konieczna interwencja osób obcych, lecz sprawie nieobojętnych, była tak traktowana i odparowywana przez cyniczną młodzież, że egzekutywa policji stawała się jedynym środkiem ratunku. Młodzież dobrze wychowana nie chce kruszyć kopij w obronie rówieśników. Jedna z dziewczynek, zapytana o zdanie, odpowiedziała krótko: „oni się ze wszystkiego śmieją, oni się śmieli w teatrze na Kresie Wędrówki!" i uważała, że to przesądza sprawę i że sytuacja jest beznadziejna...

Czyż jest beznadziejna?

Kulturę życia codziennego — a o niej tylko narazie mówić będziemy — nabywa się w domu i to we wczesnym dzieciństwie. Do szkoły, na przedstawienia teatralne, na wystawy, wycieczki, zjazdy napłynęła nowa, olbrzymia fala młodzieży. Młodzież ta we wczesnym dzieciństwie wychowywana nie była... Dziękujmy Bogu jednak, że napłynęła. Cieszmy się

[1]) Genialnym poprzednikiem wychowania personalistycznego jest tak ceniony w Polsce, a przez swą ojczyznę potępiony Fryderyk Wilhelm Förster. Niezupełnie po linii personalizmu idzie on jedynie w kwestii pacyfizmu. W tej dziedzinie u Förstera zaznacza się jeszcze wpływ humanitaryzmu indywidualistycznego. Personalizm nie głosi rozbrojenia moralnego, przeciwnie, potępiając agresywny imperializm, uczy on jednak gotowości do największych ofiar dla obrony słusznych praw Ojczyzny. Mimo tego zastrzeżenia można lekturę dzieł Förstera jaknajgoręcej polecić, szczególnie jako nieocenioną „Jugendlehre".

z tego procesu, mimo, że początki jego są trudne. Wszystko maleje wobec tej wielkiej radości, że coraz liczniejsze rzesze znajdą dostęp do szerokiego współżycia z ludźmi oraz do skarbów, nagromadzonych przez wielkie umysły, serca i duchy w narodzie. Niech obowiązek wychowywania przejmą narazie przedszkola, szkoły, drużyny, rówieśnicy przez rodziców mądrze pokierowani, wreszcie społeczeństwo, które powinno być wyrozumiałe, ale nieobojętne. Miejmy nadzieję, że już następne pokolenie zdobędzie się na samodzielne tworzenie i kultywowanie wartości kulturalnych i obyczajowych.

Dziś musimy jednak — jeśli doceniamy zasięg i doniosłość tej sprawy — zmienić trochę stosunek do pewnych pojęć. Dobre wychowanie! Piękne ułożenie! Savoir vivre! Ongi hasło ekskluzywności, wiedza tajemna uprzywilejowanych. Dziś już nie rodzi tej wiedzy zbytek, nie wysubtelnia próżniactwo. Dziś to już nie rokowe rekwizyty! Dziś w chaosie i tempie życia, w niesłychanej współzależności ludzi i ich interesów dobre wychowanie wszystkich potrzebne jest wszystkim, jak powietrze do oddechu. Dziś w s z y s c y nawrócić musimy do źródła, z którego ongi wypłynęła cenna wiedza współżycia: do poszanowania człowieka.

Mamy już chyba za sobą okres buntu przeciw konwencjonalizmom, które naogół trochę za bujnie wyrastają na glebie próżności i pychy ludzkiej. Ale dobrze będzie przyczyny tego buntu zanalizować.

Umiejętność ładnego, subtelnego obcowania z ludźmi nie jest wcale łatwa, ani prosta. Gdybyśmy po latach dzieciństwa zmierzyli sumę wysiłków, jaką kosztowała ta nauka naszych wychowawców! Uczono nas lata całe cierpliwie witać się, jeść, kłaniać, zachowywać się w obcym domu na wizycie, ubierać stosownie etc. etc. Przeżywaliśmy gniewy, bunty i ironie... Potem się o tym zapominało, ile automatyzacja wymagała czasu! Ale zdarzało się i zdarza, że niedokształcony młodzieniec lub panna w tajemnicy kupują podręcznik zasad dobrego wychowania i szukają w nim ratunku. Bowiem źle, niepewnie i smutno czują się między ludźmi, z którymi obcować im przyszło... Ale obyczaju ciężko jest nauczyć się na poczekaniu. I o dziwo, chociaż się uważnie stosuje przepisy — brak swobody i pewności siebie męczy, u p a k a r z a, onieśmiela. To też często zniechęcenie ogarnia młodych adeptów dystynkcji. Rozumują wtedy tak: „dobry ton, dobre ułożenie, znajomość zasad towarzyskich nie świadczą o wartości człowieka. Dajcie nam spokój z konwenansami. Znamy ludzi gładkich i nieciekawych, i ludzi nieokrzesanych, a nieoszacowanych".

Jest to oczywisty chaos w pojęciach. Ale jak bardzo rozpowszechniony! Naturalnie, że nie należy mieszać estetycznego jedzenia z rzetelnością, lub niewchodzenia w palcie do pokoju ze zdolnością odpuszczania win. Nie należy wogóle tak tanio wywyższać najistotniejszych walorów moralnych. Byłoby fatalne, gdyby matki pozwoliły zarazić się chaosem po-

jęć na temat dobrego ułożenia, p r z e c e n i ł y je, lub n i e d o c e n i ł y. Oczywiście, że człowiek układny, pozornie uprzejmy — może mimo to być człowiekiem bez wartości i odwrotnie, ktoś, kto brzydko je, niedbale podaje rękę, nieproszony zagląda na wizycie do wszystkich pokojów — może mieć złote serce i niezwykły charakter. Ale jeśli się z tego wyciąga wnioski na niekorzyść „dobrego tonu", to znaczy tylko, że się lekkomyślnie i powierzchownie wnioskuje. Lekceważenie form, bunt przeciw konwensansom zwłaszcza wśród dzielnej i zapracowanej młodzieży wypłynął jedynie z tego źródła, że formom dawano tylekroć p i e r w s z e ń s t w o przed treścią i przeceniano wartości tylko formalne, a przez to tylekroć krzywdzono. Wyrobienie, ubranie i obycie towarzyskie nie obniżyły przecież wartości tych „przecenionych", one tylko nie wystarczały, aby sprawiedliwie uznać je za godne szacunku i wyróżnienia. Były czasy i koła towarzyskie, że człowiek obyty, pewny siebie, dobrze i odpowiednio ubrany był tak traktowany w towarzystwie, jak gdyby te właśnie wartości mogły zastąpić wszelkie inne. Nic więc dziwnego, że przyszła reakcja i u wielu posunęła się po fałszywym torze i za daleko.

Bowiem dobre wychowanie i znajomość zasad nie zniewalają człowieka, one go wyzwalają, dają mu swobodę i dobre samopoczucie. Te „przerażające" przepisy, tak liczne, w gruncie rzeczy są subtelnościami liczenia się z bliźnim, z jego wysiłkiem, spokojem, wygodą. Nie rzucić papierosa na podłogę, stać, gdy starsza osoba stoi, oddać w porę wizytę, wszystko to jest poprostu liczeniem się z pracą, wiekiem, słabością, poczuciem czyjejś godności etc. Czegóż więc trzeba, żeby nie zejść na manowce konwencjonalizmu i fałszu? Tego, o czymśmy już wspominali. Trzeba często nawracać do źródła, z którego płynie ta cenna wiedza współżycia z ludźmi: do poszanowania w każdym — człowieka. W nowym, upragnionym, ale i lekceważonym podręczniku „Savoir vivre'u", zanim czytelnika pouczą: jaki rożek biletu kiedy się zagina i jaki krawat kiedy przystoi, mamy wyliczone nieodzowne cechy człowieka, którego mamy prawo nazwać dobrze wychowanym i ułożonym: słowność, dyskrecja, uprzejmość. Powiedziane tam jest, że trzy maleńkie słóweczka: proszę, dziękuję, przepraszam, zupełnie zmieniają współżycie. *Jeżeli do głębi wychowamy lub wypracujemy w sobie stosunek człowieka do człowieka, większość tak zwanych „przepisów" wyniknie z tego sama.* Zapewne, dużo jest przepisów przestarzałych, zbyt formalistycznych, takich, z których już... duch uleciał i naiwnością byłoby związywać się nimi, lub dać się za ich lekceważenie krytykować. Ale te, które czynią współżycie pełnym wzajemnego szacunku, delikatności i uroku, zawsze powinny nas obowiązywać. Rozpanoszony obecnie egoizm młodych utrudnia wyrobienie delikatności, wytresowanie w szacunku i zabija urok współżycia. Przerost ambicyj rodzicielskich, sławie „urazy", leczone przecenianiem dzieci, bardzo na rozwój egoizmu młodzieży wpływają. A pozatem w wychowaniu

dziecka najrzetelniej wyrabiamy dobry obyczaj przez sposób postępowania z dzieckiem. Jeżeli chcemy, żeby dziecko było grzeczne, musimy być z nim zawsze grzeczni. Także postępowanie ze sobą ludzi z otoczenia dziecka ma olbrzymi wpływ na jego „ułożenie”. Jeśli ojciec odzywa się opryskliwie do matki, jeśli pani domu kłótliwie współżyje ze służbą, trudno będzie naprawdę nauczyć dzieci dystynkcji. Dystynkcja prawdziwa zaczyna się bardzo a bardzo głęboko w... kulisach domu. Jeżeli w tym domu panuje małostkowość, afektacja, niechlujstwo — nic nie pomoże zalecanie dzieciom tego domu — wytworności. Jeżeli plotkarstwo, obmowa i podejrzliwość przenikają niemal przez naskórek młodzieży domowej — niema co uczyć ich dworności i uprzejmości. Kultura, która jest tylko „na wynos”, nie jest kulturą. Estetyka w codziennym jedzeniu i ubraniu, traktowanie najbliższych uprzejmie i niezależnie od stanów nerwowych, wszystko to przenika niedostrzegalnie dziecko i bez moralizowania uczy. Taka rzetelna kultura wyciska niezatarte i na dłuższy dystans niemożliwe do sfałszowania piętno.

O cóż więc chodzi? Im duchowo rzetelniejsze, im bliższe źródła będą obyczaje „elity”, tym proces przenikania ich i rozprzestrzeniania będzie pomyślniejszy i szybszy. Zapewne, że snobizm, pycha, głupota lubią hulać w formach wypracowanych niegdyś przez istotne powiązanie ich z treścią, psują nam sprawę. Ale na to niema rady. Ci, którzy nie snują próżnych i złych marzeń, aby się przy wychowaniu wyróżnić — ale szczerze i odważnie pragną, aby dobry obyczaj i dobre maniery przeniknęły do jaknajszerszych sfer, muszą dbać o to, żeby ani nie wyszydzać istotnych wartości dla tego, że bywają one fałszowane i zniekształcane w wirze życia, ani nie tracić wiary, że każdy człowiek może je sobie przyswoić. Tylko bowiem upowszechnione „dobre wychowanie” może uczynić proces demokratyzacji zdrowym i niosącym wszystkim szczęście. Czas, dobra szkoła i świadome tych procesów społeczeństwo przygotowują lepsze jutro.

Maria Niklewiczowa

JAK CI SIĘ PODOBA MOJA CÓRECZKA?

— Nie kłam! — mówimy dziecku.

Mówimy mu jednak również:

— Nie rób innym przykrości.

Te dwie zasady stają czasem jedna przeciwko drugiej. Co ma wówczas zwyciężyć: prawda, czy współczucie — nieraz nam samym trudno rozstrzygnąć. Tym bardziej zaś trudno dziecku, mniej skłonnemu do kompromisu niż dorosły. Wiemy, że czasem powiedzenie prawdy jest krzywdzącym okrucieństwem. Wiemy jednak też, że litość dyktuje w pewnych wypadkach niewybaczalne kłamstwa, które wyrządzają większą krzywdę niż bolesna prawda.

Prędzej czy później każde dziecko stanie wobec podobnego konfliktu. I może się tak stać, iż tej chwili nigdy nie zapomni. A my nie zwrócimy nawet na to uwagi.

Siedmioletnia Irka idzie z matką do znajomych. Właściwie do ludzi, którzy

mają się dopiero stać znajomymi. Ta pani, to dawna mamy koleżanka. Podobno ma także siedmioletnią córeczkę. Irka nie ma ochoty na te odwiedziny, bo w ogóle nie lubi poznawać nowych dzieci; nie wiadomo, w co się z nimi bawić, co one lubią, o czym wiedzą, co widziały. Nie zna się ich mieszkania, gdzie tam co jest.

— Napewno będzie bardzo przyjemnie — mówi matka — wiesz, kiedy byłam taka, jak ty, to się nieraz z tą panią bawiłam. A teraz wy się ze sobą pobawicie, my się będziemy tylko przyglądać.

Najtrudniej się bawić wtedy, kiedy się starsi przyglądają. Trudno nawet wtedy coś do innego dziecka powiedzieć.

Wchodzą po schodach, wszystko jedno jakich. Mama dzwoni do jakichś drzwi na jakimś piętrze. Ktoś otwiera. Ciemny przedpokój. Pomagają zdjąć palto i czapkę. Jasny pokój, mama siada na fotelu, Irka stoi. Wchodzi jakaś pani, całują się z mamą, cieszą się.

— A to moja Irka... Pocałuj panią w rączkę!

Ręka tej pani jest spocona, pierścionki drapią wargi. Obcy pocałunek na skroni. Pani bierze Irkę pod brodę, podnosi jej zaczerwienioną twarz.

— Ach, jaka podobna do ciebie! Zupełnie twoje oczy!

— Tak uważasz? A wszyscy mówią, że do mojego męża...

Irka chciałaby się schować pod stół. Albo spytać, czy już prędko pójdą sobie do domu. Ale czuje, że nie trzeba o to pytać.

Pani podchodzi do drzwi i wola:

— Wandeczko, no chodźże, Wandeczko, tu przyszła jedna śliczna dziewczynka do ciebie!

Ale tamta dziewczynka nie przychodzi. Może jej nie ma w sąsiednim pokoju? Nie, widać była przy samych drzwiach, bo ledwo pani tam weszła, zaraz ją wprowadza za rękę. Irce żal tamtej dziewczynki, ona pewno wolałaby się dalej bawić u siebie. Albo żeby przynajmniej odrazu mogły sobie tam pójść razem, to by się jakoś zapoznały.

Podnosi ukradkiem oczy i spogląda na Wandeczkę. Ma ona ogromne okulary w czarnej oprawie, spierzchnięte wargi, jest bardzo tęga i kołysze się jakoś niezgrabnie, gdy idzie. A nogi ma trochę krzywe.

— No, jakże ci się podoba moja córeczka?

Następuje milczenie. Irka czuje, że robi się jej gorąco. Ale milczenie to jest tak nieznośne, że trzeba, koniecznie trzeba odpowiedzieć. Mówi więc cichutko:

— Nie bardzo...

Chwila jeszcze cięższego milczenia... Potem obie panie zaczynają mówić jednocześnie:

— Moja Irka jest strasznie nieśmiała, trudno jej się z kimś nowym zaprzyjaźnić... Kiedy bliżej poznasz Wandeczkę, napewno ją polubisz, prawda, Iruś?

— Zabawne dziecko... Ale to dobrze, że jest taka szczera! No tak, Wandeczka może nie jest bardzo ładna — w głosie mamy koleżanki brzmi jakby żal — ale to taka dobra dziewczynka. Nie każdy może być ładny, i nie to jest najważniejsze.

Irce stają łzy w oczach. Ona przecież nie chciała nikomu zrobić przykrości. Ale jakże tu powiedzieć, że jej się podoba ta brzydka dziewczynka? Może ma dobre serce, nie wiadomo jeszcze: przecież się widzą pierwszy raz. Wandeczka odeszła w stronę pianina, oskubuje zeschłe liście z paproci. Irka chciałaby do niej podejść, ale nie śmie. Na szczęście po chwili już mama zaczyna się żegnać, mówi, że się bardzo śpieszy. A Irka wie, że to nieprawda, bo mama przecież mówiła, że ta pani zapewne zatrzyma je na podwieczorku.

Żegnają się, znów ta pani całuje Irkę, znów trzeba dotknąć wargami spoconej dłoni, kolącej pierścionkami. A najnieprzyjemniej jest żegnać się z Wandeczką.

Schodzą we dwie z mamą po schodach. Bardzo wolno. Irka widzi, że mama coś chce powiedzieć. Ale mówi to dopiero na zakręcie:

— Nie trzeba było mówić tej pani, że ci się jej córeczka nie podoba. Przecież

jej było bardzo przykro, a Wandeczce też.

— Mamusiu — mówi Irka, a w gardle czuje gorycz i suchość — przecież ja i tak powiedziałam, że nie bardzo, a naprawdę to mi się ona wcale nie podobała!

— Jest nieładna, ale napewno bardzo dobra, to ważniejsze.

— No tak, ja wiem, że ważniejsze, ale przecież tego nie można odrazu poznać! I ja wcale nie chciałam tej pani robić przykrości. Żeby się nie pytała, nie byłabym nic mówiła. Ale przecież nie mogłam kłamać!

Wolno schodzi mama dalej. Już nic nie mówi. Irka czuje, że coś powinno być inaczej. Ledwo panuje nad łzami. Dlaczego zrobiłam taką przykrość tej pani i tej dobrej dziewczynce — myśli. A jakbym skłamała, to co? Czy to by było lepiej, czy bardzo źle?

Nigdy, do końca życia Irka nie zapomni, że na tych schodach, które były przedtem wszystko jedno jakie — teraz, gdy tak powoli schodziła, jeden stopień skrzypnął pod nogami, i że tych stopni od jednego zakrętu do drugiego było czternaście. A w oknie były kolorowe szybki, granatowe i żółte.

JADWIGA KOPCIOWA

ROLA POCHWAŁY I NAGANY W WYCHOWANIU.

Marysia jest jedynaczką. Otoczona bezkrytyczną miłością swych rodziców ma przekonanie, że stanowi główną oś ich życia i wyobraża sobie, że świat cały do niej należy.

Domownicy upatrują w niej wybitne uzdolnienia. W ich mniemaniu posiada ona talent rysunkowy i różne bohomazy, wyszłe spod jej ręki, są skrętnie przechowywane i oprawiane w ramki, nie jako studia nad rozwojem rysunku dziecka, lecz jako rzeczy pierwszorzędnej wartości artystycznej.

Marysia uczęszcza do szkoły i doznaje wielkiego rozczarowania, gdy na okres z rysunków przynosi zaledwie trójkę.

— Nie poznali się na tobie — z głębokim przekonaniem twierdzi matka, zamiast uznać sprawiedliwość oceny.

Gdy przychodzą goście, rodzice każą Marysi mówić wiersze. Wszyscy ją podziwiają, raz nawet usłyszała, że przepowiadano jej karierę Modrzejewskiej. A tymczasem sąd konkursu deklamatorskiego w szkole uznał, że Marysia ma złą dykcję i mówi bez należytego zrozumienia. W zetknięciu z chłodną i sprawiedliwą oceną jej domniemany talent nie przedstawia żadnej wartości.

W domu zachwycają się jej urodą, to też gdy podczas żywych obrazów w szkole w malowniczej apoteozie przedstawiano dwór Zygmunta Augusta, Marysia była pewna, że przypadnie jej w udziale rola królowej, tymczasem o nieba! z jej spłaszczonym noskiem i świdrującymi oczkami, zostać miała tylko skromną dwórką...

Takie i tym podobne rozczarowania spotykają Marysię niemal na każdym kroku życia. Koleżanki są zdolniejsze i wyprzedzają ją w wielu dziedzinach. Marysia czuje się zapoznaną, powstaje w niej rozgoryczenie i niechęć do koleżanek. Czuje się w szkole obco i nieswojo. Podczas pauzy jest zawsze sama, spogląda wyniośle na spacerujące grupkami dziewczynki, ma do nich utajony żal, że nie otaczają jej one tą atmosferą uwielbienia, do jakiej przywykła w domu. Koleżanki jej — to tylko towarzyszki pracy, z którymi poza szkołą nie ma nic wspólnego.

— Marysia jest taka zarozumiała — utrzymują dziewczynki w klasie, uczy się co prawda dobrze, ale wolałabym nie wiem co, niż zwrócić się do niej o pomoc, robi to jak z łaski i okazuje swą wyższość.

— Uważa się za coś lepszego od nas wszystkich — jednomyślnie uznają koleżanki.

„Szkoła to mały światek". Na ten te-

mat toczyła się ożywiona dyskusja podczas godziny wychowawczej.

— Świat to zupełnie co innego — myśli Marysia — stanie on kiedyś przede mną otworem, tylko ten mały, karłowaty światek szkolny jest taki nieprzychylny.

„Człowiek, jako jednostka przedstawia z siebie tylko drobny ułamek wielkiej społeczności ludzkiej — przemawia przewodnicząca zebrania — i jest małoznaczną śrubką w wielkiej machinie życia".

Marysia zastanawia się nad słowami prelegentki, lecz poglądy te nie znajdują w niej oddźwięku.

Kto winien takiemu niewłaściwemu podejściu do życia?

Jedynie rodzice, którzy przez nadmierną miłość i przyzwyczajenie do pochwał przyczyniają swym postępowaniem wielką krzywdę dziecku.

Pochwała to duży atut w rękach rodziców i wychowawców. Umiejętne jej stosowanie daje podnietę, jest bodźcem do dalszej pracy, a u jednostek ambitnych przerodzić się może w tak cenną zaletę, jaką jest pewność siebie, wiara w swe siły, które tak bardzo ułatwiają życie i pomagają w osiągnięciu zamierzonego celu.

O ile właściwe dawkowanie pochwał daje korzystne wyniki, o tyle szafowanie nimi wyrabia w dziecku zarozumiałość, egoizm, a w rezultacie stać się może przyczyną wielu zawodów życiowych i wszczepia w duszę jad rozgoryczenia.

A teraz inny przykład.

Brońcia ma liczne rodzeństwo. Nie jest ona ani najstarszym dzieckiem, upragnionym i oczekiwanym, ani najmłodszym beniaminkiem rodziny.

— Gdy Joasia robi ozdoby na choinkę lub maluje pisanki na święcone — myśli Brońcia — to jest na co popatrzeć, bibułkowe ptaszki spod jej ręki wylatują jakby żywe, a do pisanek aż się oczy śmieją; Jędrek gdy ulepi ogród z plasteliny lub też samolot z tektury, to wzroku oderwać nie można. Tylko ona, Brońcia do niczego wziąć się nie umie. „Niezdara" — nikt jej inaczej nie nazywa i ona sama w to wierzy.

— Brońciu, przynieś szklankę z herbatą, albo lepiej zostaw... bo rozlejesz, przecież ty nic w rękach utrzymać nie potrafisz...

Brońcia stawia na tacy szklankę, niesie ją ostrożnie, z wielką uwagą, ciągle o tym myśli, by nie rozlać i właśnie dlatego rozlewa...

Jedna niezręczność pociąga drugą.

— Pójdziesz, Brońciu, do sklepu po chleb, albo nie, lepiej poślę Jędrka, bo tobie na pewno resztę źle wydadzą lub zgubisz pieniądze. Brońcia idzie do sklepu, a wracając ciągle oblicza, ile pieniędzy ma przynieść, potyka się, upuszcza paczkę i rozsypuje drobne, czym jeszcze więcej upewnia domowników o swym niedołęstwie.

Dochodzi do tego, że Brońcia do żadnej pracy nie ma odwagi się zabrać, chcąc uniknąć nagan, których jej nie szczędzą.

Choć mogła się do nich przyzwyczaić, odczuwa je zawsze bardzo dotkliwie. Chciałaby się zmienić i poprawić, choć w części dorównać swemu rodzeństwu, ale od wszystkiego jest odcięta, gdyż z góry przesądzono, że praca jej jest pozbawiona wartości.

— Jesteś darmozjadem — mówi matka — nie mam z ciebie żadnej wyręki.

Brońcia ogląda swe ręce, które nie różnią się od rąk jej rodzeństwa. Czyżby do niczego nie były zdolne? Ale widocznie tak jest, skoro wszyscy są tego mniemania.

Brońcia staje się przygnębiona i nieśmiała. Każde zetknięcie ze światem zewnętrznym przejmuje ją lękiem i obawą. Zaszyłaby się w ciemny kąt, gdzie niktby jej nie dojrzał i nie odnalazł.

Któregoś dnia przy stole, zaczęto się z niej śmiać, że mówi tak prędko, jakby wraz z obiadem zjadała wszystkie wyrazy. Brońcia staje się małomówna i zaczyna się zacinać. Odtąd prócz „niezdary" zyskała jeszcze przezwisko „jąkały", które zrosło się z nią tak samo jak poprzednie.

W Brońci zachodzą dwie zmiany. Staje się przesadnie staranna. Zaściela swe łóżko i wygładza kapę, by nie było na

niej najmniejszego załamka, przygląda się i po parę razy poprawia. Wszystko na stoliku układa pod linię i wpada w gniew, gdy ktoś jej coś zmieni lub poruszy. Odmawia po kilka pacierzy rano i wieczorem, na zapas. Wychodząc z domu, wraca w obawie, że czegoś zapomniała. Staje się apatyczna i nieufna. Z dziecka kompletnie zdrowego, jedynie o konstytucji wrażliwej, przeistacza się w dziecko nerwowe.

Tego rodzaju typy zamiast ganić należy raczej chwalić i podniecać, by zrównoważyć brak wiary w siebie, który staje się przyczyną innych cech pochodnych, jak nieśmiałość, niezręczność, jąkanie i bojaźliwość.

Nie istnieje wychowanie bez sprawiedliwej nagany. Nagana jednak nie może być posunięta tak daleko, by zaszczepiała zwątpienie w możliwości poprawy. W urabianiu charakteru i w walce z jego usterkami powinniśmy wskazywać dziecku przykłady, gdzie głęboko zakorzeniona wada przy dobrych chęciach i silnej woli ustąpiła lub uległa znacznemu złagodzeniu.

Dziecko jest z natury łatwowierne i podatne do sugestii.

Z jednej strony nie powinno się zbyt często ganić dzieci, gdyż przez to bezwiednie wpaja się w nie ujemne przekonanie co do swej wartości, skąd powstaje przedwczesne przygnębienie. Z drugiej strony nie należy przesadnie chwalić, gdyż tą drogą rozwija się w dzieciach niepożądaną zarozumiałość i egocentryzm.

WIKTORIA HESSLÓWNA.

O WYBORZE ZAWODU.

Artykuł niniejszy nie ma na celu wyczerpania i wszechstronnego oświetlenia zagadnienia wyboru zawodu, zawierać będzie tylko niektóre uwagi, mogące przyczynić się do zastanowienia się nad tą sprawą oraz mogące posłużyć do wyjaśnienia pewnych wątpliwości.

Kończy się już niedługo rok szkolny i jak zawsze wiele młodzieży stanie przed ważnym problemem życiowym, jak pokierować dalej swoje kroki, jakie obrać studia lub do jakiego skierować się zawodu. Teraz zwłaszcza, gdy pierwszy raz młodzież opuszcza czteroletnie gimnazjum, ażeby przejść do odpowiedniego liceum, zagadnienie to wysuwa się na plan pierwszy.

Rodzice bezpośrednio zainteresowani losami swoich dzieci i mający na nie wpływ wielki, stają również ze swoimi dziećmi, a może więcej niż one, wobec kłopotliwej zagadki życiowej. Dobrze będzie zatem, nawet wówczas, gdy się ma zdecydowane stanowisko w tej sprawie, chociażby dla sprawdzenia jego słuszności, porównać je z innymi.

Jakie czynniki rozstrzygają zwykle w wyborze zawodu? Odnośne badania [1]) wykazały, że często w wyborze zawodu rozstrzygają motywy przypadkowe. (Dlaczego pan wybrał ten zawód? — pytam znajomego prawnika. — Nie wiem dlaczego, całkiem przypadkowo, odpowiada, a potem dodaje żartobliwie: mój kolega powiedział, że zapisał się dlatego na da-

[1]) Wg. broszury „Dziesięciolecie Instytutu Psychotechnicznego w Krakowie“, Kraków 1936, nakładem Wojewódzkiego Instytutu Rzemieślniczo - Przemysłowego.

ny wydział, ponieważ „ogonek" do wpisów na uniwersytecie był tam mniejszy).

Dalej kieruje w wyborze zawodu naśladownictwo, wpływ środowiska. To, że ojciec miał dany zawód, decyduje o wyborze zawodu dla syna. Są także zawody, które w danym okresie zyskują sobie jakby przywilej mody, która pociąga wielu. Popłatność zawodu jest również czynnikiem decydującym.

Zaledwie 20% ludzi wybiera zawody według swoich uzdolnień.

Rodzice nierzadko kierują się w wyborze zawodu dla swoich dzieci jakimiś czysto zewnętrznymi czynnikami. Są nimi względy ekonomiczne, popłatność zawodu lub ambicja rodziców, którzy wymarzyli sobie, że dany zawód byłby najodpowiedniejszy dla ich dziecka. Obecnie, w czasach utrudnionej egzystencji, dołącza się do tego zniechęcenie i rozgoryczenie, powodujące apatję rodziców i dzieci. Cóż z tego, że się uczyć będzie, kiedy i tak stanowiska żadnego nie dostanie, wszędzie takie przepełnienie. Zdania takie powtarzają za rodzicami ich dzieci i tłumaczą nimi swą niechęć do pracy, lub co gorsza, obudzają w sobie taką niechęć.

A przecież praca zawodowa wypełnia przeważną część naszego życia i takie nierozważne stanowisko rodziców może sprowadzić niepożądane rezultaty i zaważyć na losach ich dzieci. Może być i tak szczęśliwy zbieg okoliczności, że przypadkowo wybrany zawód okaże się pomyślnym i pociągającym, ale, co częściej bywa — okazać się może niepomyślnym. Zawód wybrany bez zastanowienia i bez sprawdzenia własnych uzdolnień do niego, może stać się ciężarem nie do zniesienia. Uzdolnieniu przeważnie zawsze towarzyszą zamiłowanie i zainteresowanie, które powoduje i potęguje sprawność w wykonywaniu pracy, a przytem osładza niejako złe chwile, towarzyszące, jak wiemy, każdej pracy zawodowej.

Zatem w wyborze zawodu względnie studiów, prowadzących do niego, należy w pierwszym rzędzie kierować się uzdolnieniami, a inne czynniki, chociaż uznając je także za ważne, uważać należy za drugorzędne i nie decydujące.

Jakże jednak poznać ma młodzież swoje uzdolnienia, jak poznać je mają rodzice? To sprawa ważna, ale i nie łatwa.

Młodzież często z powierzchownej znajomości i pozorów niejako ocenia swój stosunek do zawodu i nieistotne upodobania identyfikuje z uzdolnieniami. Także często młodzież sama rozpoznać nie może, do jakiej pracy, zawodu czy studiów, ma skłonności, uzdolnienia, czy chociażby ochotę. Na co pójdziesz po zdaniu matury? — Nie wiem. — Na co masz ochotę pójść? — Na nic.

Takiemu ustosunkowaniu się do swojej przyszłości zapobiec ma nowe gimnazjum i licea, wychowujące w kierunku pewnych określonych tendencji i zawodów. Młodzież, kończąca nowe gimnazjum, już obecnie staje wobec pytania, jaki obrać dalej kierunek studiów, czy humanistyczny, matematyczny czy przyrodniczy, czy wreszcie już teraz obrać kierunek czysto

praktyczny w liceum zawodowym. Możnaby zarzucić takim decyzjom, że są przedwczesne i byłoby to słusznym, gdyby były już ostateczne. Młodzież jednak wcześnie uczy się zastanawiać nad sobą, nad swoimi zdolnościami i zamiłowaniami, uczy się tego wtedy, gdy jeszcze wszystkie drogi przed nią są otwarte i gdy może jeszcze z obecnie obranej zawrócić na inną, wiodącą do jej istotnego powołania.

Młodzież, kończąca gimnazjum nowego typu, już teraz żywo zajmuje się kwestią wybrania odpowiedniego liceum dla siebie, analizuje swoje skłonności i zamiłowania, zastanawia się nad ważnością decyzji, wiodącej ją do dalszej pracy życiowej. Młodzież powinna przede wszystkim poznać samą siebie i dopomóc jej w tym powinni wychowawcy. Nie należy jednak dzieciom sugerować jakichś skłonności, lub zbytnią krytyką odstraszać je od nich.

Do poznania swoich właściwych uzdolnień do zawodu konieczne jest także dokładne poznanie danego zawodu. Poznanie nie powierzchowne, zdawkowe ze strony tylko dodatniej lub ujemnej, ale poznanie wszechstronne, zetknięcie się z nim bliższe i bezpośrednie. Dalej konieczne jest poznanie, jakie przygotowawcze studia lub nauki prowadzą do niego, jakie należy pokonać trudności w dojściu do celu.

Najłatwiej zdecydować się może w wyborze zawodu młodzież wybitnie uzdolniona w jakimś kierunku. Są to jednak objawy nie częste, przytem niektóre uzdolnienia nie przejawiają się wcześnie, częściej młodzież nawet bardzo uzdolniona, ale bez specjalnych skłonności i zdecydowanych wyróżnień, staje bezradna wobec problemu wyboru zawodu.

Wtedy obowiązkiem wychowawców jest dopomóc jej do decyzji. Wychowawcy, ludzie dojrzali, znają życie lepiej niż młodzież, patrzą też na nie z pewnej perspektywy, pozwalającej na szerszy pogląd, mogą zatem często lepiej poznać ukryte zdolności swoich wychowanków niż oni sami.

Obecnie coraz bardziej rozwijają się pewne instytucje, mające na celu poradnictwo zawodowe, a także władze szkolne już wyznaczają psychologów szkolnych, którzy także wiele dopomogą na tym terenie pracy i troskliwi rodzice nie powinni zaniedbywać możności zasięgnięcia światłej porady w tej tak ważnej dla ich dzieci sprawie.

Jakie korzyści osiągnie młodzież, kierując się w wyborze zawodu przede wszystkim swoimi rzeczywistymi uzdolnieniami?

Uzdolnienia ułatwiają niezmiernie pracę zarówno przygotowawczą do zawodu, jak również pracę w nim samym. Wysiłek zatem cały może być skierowany na odpowiednie wyspecjalizowanie się w zawodzie, które nawet w tych ekonomicznie trudnych czasach ułatwi młodzieży znalezienie pracy i wzmoże siły życiowe, potrzebne do walki o byt. Praca zawodowa nie będzie przykrym obowiązkiem, jakąś katorgą zniechęcającą do życia, a swobodną, chętną działalnością człowieka, który ją sobie wybrał dobrowolnie i z namysłem.

DZIECKO I ŚRODOWISKO.

Problemy rodzinne w „Dzieciach" Jana Brzozy.

(Ks. Atlas 1936 r.).

Powieść o proletarjackim środowisku dziecięcym wielkiego miasta wgryzła się w sumienie społeczeństwa. Nie tylko czytamy „Dzieci", lecz również wchłaniamy ich mimowolny wpływ głęboki. Nasza tradycyjna postawa wobec t. zw. „uliczników" przekształca się w dążenie do sprawiedliwego uregulowania ich życia i rozwoju. Książka robi mocne wrażenie, gdyż nie zawiera momentów sentymentalnych, działa właśnie tragicznym obiektywizmem, t. j. zimnym ujmowaniem fatalnej rzeczywistości „ulicznej" dzieci „półdomnych" lub całkowicie bezdomnych. Autor — to sierota od lat najmłodszych. Przeszedł skomplikowaną epopeję ulicy, jako gazeciarz, chłopiec do posyłek i t. p. Na jednym z swych wieczorów (w Lublinie) naszkicował genezę powieści. Oto jego dziecięce przeżycie, które pchnęło go do protestu przeciw ordynarnej krzywdzie: „Muzyka gra. Goście rozmawiają. Kobieta na estradzie śpiewa: „Szampańskie moje usta... tu całus posyłam wam". Grzmią oklaski, wszyscy się śmieją, a Janek daje susa pomiędzy dwoma kelnerami i już leci po schodach pięciu Janków. Hehe! Ale jak wyjść? Tylko z rozpędem. Portier w bramie machnął ręką, ale nie trafił. Ale zato kopnął. Janek poleciał aż na krawędź chodnika i rozciągnął się jak długi. Kolano zapiekło"... (str. 21). Powieść jest właśnie artystycznym, pełnym umiaru manifestem w obronie małych bezdomnych.

Właściwie dzieci posiadają ogniska domowe, jednak rzadko z nich korzystają z powodu ciasnoty, ciemności, a głównie ze względu na konieczność całodziennego uganiania się za groszem. Dziewczynka - gazeciarka, ta, która ginie tragicznie pod kołami tramwaju, zarabia wespół z siostrami na dom... „Jest ich w domu coś sześcioro i wszystkie muszą sprzedawać gazety. Dzieci te mają ojca, takiego starego nicponia, który strasznie je bije, wszystkie pieniądze zabiera im na wódkę, a sam nic nie robi. Ba, żeby to tylko ojciec. Ale matka taka sama. Wciąż nic, tylko piją, dzieci biją, klną, na czym świat stoi i kłócą się ze sobą. A dzieci same się wychowują. Jedno drugie karmi, wspomaga, obszywa i opiera. Dzieci te żyją ze sobą bardzo solidarnie i wszystko robią według umowy między sobą. Więc ustanawiają dyżury w domu do gotowania, sprzątania, a reszta idzie na wódkę. Poza tym starzy ich wcale nie obchodzą. Żyją swoim życiem, a dzieci swoim. Starzy piją, klną i kłócą się, a dzieci pracują skrzętnie, jak te mrówki. Bicie dostają tylko wówczas, gdy nie ma pieniędzy, w innych wypadkach rodzice ustępują dzieciom we wszystkim. Gdy najstarszy chłopak zamiata izbę, to mówi: — No, niech się tato ustąpi, bo zamiatam tu. Albo: — Niech się matka teraz nie szwenda, tylko siędzie se gdzieś w kącie. I rodzice słuchają". (167). Świetna charakterystyka niektórych rodzin proletariackich. Dzieci organizują się samorzutnie i montują demokratyczną rodzinę — bez „głowy". Równie przykre, chociaż odmienne stosunki obserwujemy w innych rodzinach. Wybija się tu na plan pierwszy sytuacja półsieroctwa. Są to wdowie rodziny, tak częste w środowiskach proletariackich. Dom Maniusi działa depresyjnie. Matka z dziewczynką (ok. 10 — 11 lat) pierze po całych dniach. „...I kiedy robota na dziś skończona, Maniusia jest tak zmęczona, że nie może już nic jeść, tylko chce zaraz spać. Spać, spać, tak upaść na posłanie w sukience mokrej i tak zaraz zasnąć z rękami rozrzuconymi daleko, bo pieką, zapaść w ciężki spracowany sen". (131). Mama przyjmuje sublokatorów — całą obcą rodzinę, — by ulżyć swej doli. Codziennie powstają awantury, zwłaszcza między dziewczynkami — subloka-

torkami a Maniusią. Gniecenie się dwu a nawet trzech rodzin w jednoizbówce jest typowym, często obserwowanym zjawiskiem środowiska proletariackiego. Wytwarza się z współmieszkańców jakaś nieokreślona szersza grupa, zbliżona do rodziny, jednak wzajemne niechęci coraz się pogłębiają i wywołują częste bójki.

W suterenie Janka jest nieco „lepiej". Matka przyjęła na mieszkanie pana Jamroza i starego Walentego. Chłopcu jednak na tym nie zależy, przychodzi tylko na nocleg i to nie zawsze. Z mamą widuje się bardzo rzadko. Momenty zbliżenia — sporadyczne. Mimo to jedno jest głębsze wspólne dążenie matki i synka: wybicie się, wyzwolenie z proletariackiego stanu. Janek, chętny do nauki, musi wyjść na człowieka. Chce zostać lekarzem, jak Tolku muzykiem. Te kompensacyjne marzenia chłopca gasną w suterenach. Owszem, po jakimś czasie Janek awansuje. Dostał się na stanowisko chłopca hotelowego. Ma takie ładne szlify złote. Zarabia, pomaga nawet matce, która klepie biedę z swoim nowym mężem.

Jurek podziela sutereniarski los swych starszych współtowarzyszy. Oto ciekawa sytuacja. Chłopiec chciwie odrabia rachunki, „wlipia" oczka do zabrudzonego okna. Cyfry mieszają się z nogami przechodniów, a teraz właśnie stanął przed otwartym okienkiem taki duży, czarny pies, i podnosi nogę... „— Ażeby cię! Marsz! Marsz, samsunie jeden! — I Jurek tak ręką daje psu po tej sikawce, że psiak aż zaskowyczał... Pan stanął przed oknem i zaczął krzyczeć, że to skandal, że zaraz zawoła policję, że natychmiast zadzwoni do ochrony zwierząt". (52). Niejako dwa światy — wyższy i niższy. W tym pierwszym nawet pies jest uprzywilejowany, broni go specjalne prawo. A w tym drugim dziecko słabe, wynędzniałe, wścibia ślepka w zeszyt przed defiladą uliczną, zazdroszcząc szczęścia — pańskiemu psu. Drobna scena, a tak wymowna! Jurek bliżej się zetknął z pańskim domem. Nie może odrabiać zadania, biegnie do Maniusi po radę. Ona też nie potrafi rozwiązać, więc idą do „panienki Janinki", która ich wita w charakterystyczny sposób: — „A jak się macie? To wy z dołu?". (55). Dzieci z suteren są onieśmielone. Odczuwają rażący kontrast, obserwują nieznane przedmioty, nie rozumieją niemal zupełnie powiedzeń „pańskich". Dostrzegamy silną dozę poczucia niepełnowartościowości u dzieci z suteryn. Im się nic nie należy, albo mało co. Dom „panienki Janinki" bynajmniej odpychająco działał, ale dystansowo. Ten moment zawsze odczuje dziecko Przyzwyczailiśmy się już do faktu, że dzieci „z dołu" żyją niejako na marginesie — w dystansie od „porządnych i zamożnych domów". Mimo dobrej woli rodzin „z góry" nie dochodzi do bliskiego i stałego kontaktu, bo różnica w kulturze codziennej istnieje wielka. W dodatku działa lęk przed zepsuciem ze strony dzieci sutereniarskich. Jest to problem trudny do rozwiązania. Separatyzm ten jest zasadniczą przeszkodą w demokratycznym wychowaniu dziecka. Uliczne zespoły samorzutne dzieci sutereniarskich są objawem tragicznej przepaści, jaka istnieje między domem „panienki Janinki" i domem Jurka. Te niewinne z początku grupki nieletnich zaprawiają się z czasem do „skoków". Tak Grześ, wyćwiczony w drobnych „wyprawach", przystaje do bandy. I oto, jako włamywacz, wkroczy do „porządnego" mieszkania. Bynajmniej nie przypadkowe rozumowanie, lecz stwierdzenie normalnego biegu zjawisk naszkicowanego separatyzmu.

Jurek po śmierci matki „przystaje" do Antka i Józka. Członkowie brukowych grupek dziecięcych — to przeważnie sieroty, półsieroty. Zatem na rodzinnym tle w wielu wypadkach formują się przygotowawcze „zespoły" i karne bandy. Stwierdzić należy wysoki poziom uczuć rodzinnych u dzieci z suteren. Rozpacz Jurka po stracie matki dosięga granic obłędu. Janek, Tolku i inni

ostatnie grosze oddają na chleb dla swych rodzin. Jednak chłopcy odrywają się z czasem od podłoża i szukają namiastki domu. Strych pustej szopy przedmiejskiej jest schronem sierot i półsierot, którym w suterenie brakło wolnego kąta. Wytworzył się tu zgrany zespół chłopięcy i swoista atmosfera grupowa — namiastka rodziny. Tę samą rolę pełni kino, w którym Antek śpi, grzeje się, je itd., oraz „herbata u baby Chaji". (40). Te i inne namiastkowe formy rodzinnego wyżywania się dzieci świadczą o potrzebie stworzenia dla nich specjalnego środowiska domowego. Musi ono wytworzyć normalną temperaturę uczuć rodzinnych. Zadania tego nie spełniła świetlica, naszkicowana w „Dzieciach". Nie ma w niej bowiem atmosfery bezpośredniej, swobody, panuje natomiast fałszywe przedelikacenie, które chłopcy przyjmują z drwinami. Ukryte dążenie świetlicy do zajęcia chłopców szewstwem, czy innym pośledniejszym rzemiosłem, spotyka się z ich silnym oporem. Wolą zimny strych. Jurek niema przekonania do „paniusi" prezesującej. Wszak miał z nią „świńską" przeprawę. Stara skąpica dała mu aż 10 gr. za niesienie ciężkiego drzewka. (268).

Tendencje rodzinne i opiekuńcze chłopców wyraźnie się zarysowały w kilku charakterystycznych scenach. Zabierają od siebie — na strych porzuconego przez matkę malca, ściągają karetkę pogotowia do chorego dziecka, które zostawiła na pastwę wypadku w lesie jakaś kobieta, żądna uciech tego świata. Zatem uliczne zespoły wprowadzają korektę do postępowania starszych. W wielu wypadkach okazują więcej uczuć ludzkich niż ich rodzice, — bankruci życiowi, chłostani długo fatalnym losem. Ulica jest terenem przedwczesnego dojrzewania dziewcząt i chłopców. Za Maniusią (12 — 13 l.), zamiatającą bruk, względnie sprzedającą gazety, krążą już panowie — „łowcy". Dziewczynka opowiada to matce, jednak ta nie reaguje. Szereg dziewcząt z rodzin proletariackich oddaje się z czasem prostytucji, jako względnie najdostępniejszej formie zarobkowania. Bolesne to zjawisko wiąże się ściśle z sytuacją rodzinną dziewczęcia. 12-letnia Józka zarabia swym ciałem na dom. — „A co starzy na to?—Przecież bili ją porządnie.—Cóż, bili, ale jak przyniosła forsę, to przyzwyczaili się i teraz nic już nie mówią. Teraz zrobili się tacy chciwi, jak Żydy na pieniądze. Obliczają kasę i tyla. Nabidowali się dość. Nie ma się tak bardzo czemu dziwić" (258). Nie jest to bynajmniej odosobniony wypadek.

Przedwczesna dojrzałość chłopców objawia się w ich życiowej zaradności. W przeciwieństwie do dziewcząt grupują się w zespoły, organizują „wypady", lub szlachetną akcję (narada nad dzieckiem porzuconym w lesie, str. 143 — 4). Odczuwają jednak zarówno chłopcy jak i dziewczęta, stratę zbyt wczesnego dzieciństwa i wejście obcesowe w sprawy dorosłych. Brak normalnie funkcjonującej rodziny lub zupełne sieroctwo są czynnikami zawczesnej utraty dziecięctwa. Jest to jeden z najbardziej przykrych problemów rodzinnych. Marzenia dzieci o zabawach i raju, który przeżywają ich szczęśliwi rówieśnicy, stanowią psychiczną namiastkę domu (164 — 5). A oto wymowny fragment: „Chłopcy pousiadali na ziemi i zamyślili się, każdy o swoim, a jednak takim samym zmartwieniu. Ot, żyć się nie chce. Jak pies ścigany i bezdomny. Bez domu, bez matki. Matki. Wszyscy mają matkę, jakie są, to są, ale są. A tu zimna noc i nie wiadomo, gdzie teraz iść" (98).

Charakterystyczny jest kontakt dziecka miejskiego z rodziną wiejską. Józek, zabrany po stracie matki na wieś, do krewnych, odczuwa całkowitą obcość nowego środowiska. Zupełnie odmienne zachowanie się i postawa wobec dziecka ludzi wiejskich budzi lęk w Jurku. Ucieka głodny i bosy do miasta, szuka obłędnie matki, u której było tak swojsko, tak dobrze.

Kwestia bezrobocia występuje w „Dzieciach" jako zjawisko, wyrosłe ponie-

kąd na tle stosunków w rodzinie. Pewnie, że zasadnicze przyczyny znajdują się gdzie indziej. Tolku ma ojca i matkę, o których musi myśleć, inaczej zemrą z głodu, zwłaszcza mama. Dzieci kupa. Tolku jest najstarszy, więc poczuwa się do opiekuństwa. Ojciec jest niezaradny, nieenergiczny, skory raczej do kart, niż do roboty. Nie przejmuje się tym, że żona „pewnie znowu nic nie jadła". (71). A przecież ma fach w ręku, jest murarzem, mógłby zabiegać energicznie o pracę. Sklep nie da bezrobotnemu na „kredę". Świetnie oddana scena „żebraniny" w sklepie (127 i in.), jest bardzo wymowna. Wystarczy pochodzić trochę po drugorzędnych sklepach spożywczych, aby zebrać obfity materiał, dotyczący sytuacji rodzin bezrobotnych, lub zarabiających dorywczo.

Należy podkreślić atmosferę moralno - wychowawczą suteren. Gniecenie się w jednoizbówce kilku rodzin, gromadzenie się w niej znajomych i sąsiadów, w związku z tymi czynnikami liczne sceny erotyczne, rozmowy obskurne, wytwarzają niezdrowy klimat dla nieletnich.

Niektóre sceny powieści (np. na str. 126 i 190) świadczą o silnym separatyzmie, jaki istnieje wśród uczniów z „lepszych" i „biednych" rodzin. Szkoła, jak to zauważył autor, w wielu wypadkach słabo lub niewłaściwie na to reaguje. Gdy tak podsumujemy zjawiska wyżej zarysowane, otrzymamy kilka charakterystycznych wniosków: 1) bezdomność lub fatalne warunki mieszkaniowe zespołów ulicznych, band, zdziczenie itp. 2) atmosfera wychowawcza rodzin proletariackich oddziaływa ujemnie na nieletnich; 3) mimo to wysoka jest kultura uczuć społecznych i rodzinnych dzieci z domów bezrobotnych i proletariackich; 4) przedwczesna utrata dziecięctwa wywołuje liczne zaburzenia w psychice nieletnich oraz jest naturalnym podłożem ich przestępstw, zboczeń i dewiacyj; 5) nieregularne i niezmiernie słabe odżywianie, często całodzienny głód, powoduje skarlenie, popycha małoletnich do kradzieży, oszustw itp.; 6) liczne choroby dziecięce wynikają nie tylko z ujemnych warunków mieszkanionych, z nędznego odżywiania, lecz również z bolesnych sytuacyj ulicznych, w które zapędza nieletnich pogoń za lichym, jednak niezbędnym zarobkiem; 7) dzieci ulicy niemal nie korzystają ze szkoły, natomiast wchłaniają różnorodne wpływy brukowe.

„Dzieci" Brzozy są kopalnią zagadnień rodzinnych nie tylko dla dorosłych, lecz również dla nieletnich. Łatwo dostrzec, że dziecięcia linia myślenia, zachowania się i ekspresji utrzymana jest harmonijnie w całej powieści. Dziecko ulicy wyraziło się w niej — całkowicie.

Mgr. Józef Czarnecki.

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.

W sprawie odpowiedzi na artykuł „Radosność"[1]).

Najpierw postaram się wytłumaczyć wobec p. L. Pławickiego. Nie pisałam o „wpychaniu" dzieciom pieniędzy, lecz o tym, że często w porównaniu do ogólnego stanu materialnego rodziny, młodzież wymaga za wiele dla siebie. Znam fakty bynajmniej nie wyjątkowe, iż ciężko pracujący rodzice urzędnicy dają chłopcu z niższych klas gimnazjalnych 20 zł. pensji miesięcznej, lecz on, powiadają, stara się zawsze na wszystkie wydatki szkolne, kina itd. brać od nas osobno, gdyż mówi, że pensja to już jest tylko dla niego. Zdarza się nieraz, że rzeczywiście nie ma na rzeczy konieczne dla dziecka, ale ma się na zbędne, gdyż wiele się robi dla pozorów.

[1]) Nr. 3 „Rodziny i Dziecka" r. 1937.

Sądzę, że w każdym normalnym społeczeństwie, w normalnej rodzinie układa się budżet „z ołówkiem w ręku" i że po wsze czasy odrzucało się i odrzuca wiele pozycyj, na które nie stać.

Młodzież widziała zatroskane twarze rodziców, biegała za korepetycjami i przed wojną nie mniej, niż teraz. Czyż społeczeństwo polskie opływało w takie dostatki? I właśnie chwila rzadkiej beztroskiej zabawy wywoływała radość przez kontrast.

Teraz o przesycie. Nie chodzi o zbytek indywidualnych rozrywek. Chodzi o zgiełk ulicy, krzyczące reklamy, hałas głośników itd., który odzwyczaja od skupienia myśli. Wynikiem tego nie jest podniesienie kultury. Ilustracja: dziewczynki z gimnazjum warszawskiego przybyły z wycieczką do Krakowa. Stają pierwszy raz w życiu na Rynku. Z porannej mgły wynurza się kościół Mariacki, pełno kwiecia na targu itd. Jest tak pięknie, że zapiera dech. One nie widzą tego, całą uwagę skupiły na potwornie krzyczących afiszach kinowych — „co dają?", „gdzie" i potem z pogardą — „phi, to już dawno było w Warszawie".

Sprawa przyjaźni. Miejmy nadzieję, że takich dzieci, które się wstydzą swoich domów rodzinnych nie jest ostatecznie tak wiele. Dawniej też nie wszędzie była ta wymarzona atmosfera familijna, lecz młodzież była młoda, może zbytnio egzaltowana, ale nie sfilistrzała i wyżej ponad inne względy ceniła wspólne ideały i bezinteresowną miłość do rówieśników.

Szanowny p. Pławicki uważa, iż wobec dzisiejszego oblicza młodzieży „przede wszystkim winien jest dom rodzinny". Mnie się jednak zdaje, że winne jest ogólne tło życia. Dom nie może otoczyć się murem obronnym, odosobnić, musi tkwić w rzeczywistości. Młodzież porywają wrażenia zewnętrzne, siłą rzeczy ciekawsze, bardziej zachłanne od codziennych spraw rodzinnych.

Mówiąc o Iksinowie miałam na myśli miasto prowincjonalne. Nazwę wzięłam z „Emancypantek" Prusa. Plotki dziś są nie mniejsze, niż dawniej, radio i kino do pewnego stopnia podnoszą cywilizację, lecz dzięki nim zatraca się swoisty koloryt, głębsza kultura tych zadumanych środowisk. Wiemy, iż dały one wielu ludzi nieprzeciętnych i że duże wartości społeczne mieli działacze pracujący, lub pochodzący z prowincji. Nie uważam za wielką zdobycz kulturalną, iż obecnie panienki z Iksinowów wysyłają swe fotosy do rubryk „czy jesteśmy fotogeniczni?".

Tempo i zgiełk nie są koniecznymi warunkami dla rozwoju społeczeństw. Obala się zbyt pochopnie wartości wytworzone przez wieki i zapanowuje szkodliwe naśladownictwo. Nie chodzi o uśpienie, czy zastój prowincji. Przeciwnie, ruch i akcja są konieczne, chodzi jednak o to, jak bardzo umiejętnie trzeba nimi kierować, aby nie zaprowadziły na Broadway, albo, nie daj Boże, nie wytworzyły stosunków chicagoskich.

Młodzież dzisiejszą trzeba uczyć, aby dojrzała piękno przyrody, aby znalazła spokój i ciszę, płynącą z niej. Obserwowałam kolonię warszawskiej szkoły nad morzem. Piasek morski i fale były tłem dla kostiumów, słońce, na równi z olejkami, środkiem do opalania się. Piękna nie dojrzano. Tu się zjawia zagadnienie odczuwania sztuki. VII klasa gimnazjum pisała wypracowanie na temat: „Artysta i uczony". Kilkadziesiąt dziewczynek porównywało artystę kinowego z uczonym. Nie wiem, jak wyobrażały sobie pracę tego ostatniego, ale czy to nie jest straszne, iż wchodzące niedługo w życie młode kobiety nie zauważyły wśród chaosu miasta istnienia malarzy, muzyków, czy poetów.

Młodzież dzisiejsza wychowywała się wśród ludzi zmęczonych wojną, wśród ludzi spłytczałych. Za wiele przeżyli ci starsi, musieli wypocząć wśród łatwych książek, łatwych rozrywek itd. Naturalnie, że młodzież nie jest winna, iż ma takie, a nie inne oblicze.

Teraz odpowiem Panu Studentowi. Gdy młodzież „dopada wyższych uczelni" to w walce „ideowej" przeraża brutalnością, brakiem kultury. Mamy chyba dosyć przykładów, potwierdzających te słowa. P. Student sądzi, iż dawniej przyjmowano wesoło biedę studencką, gdyż świeciła nadzieja lepszej przyszłości — ale czyż doprawdy w zbiedzonej Galicji czy „priwislinskim kraju" oczekiwały na Polaków tak lukratywne posady? Nie mogłam dokładnie zrozumieć myśli, którą P. Student chciał zawrzeć w końcowych wierszach swej odpowiedzi. Dlaczego dawniej z suteren i z spośród biedoty czwartaków mogli wychodzić najdzielniejsi ludzie, a dziś warunki materialne stoją im na przeszkodzie? Przecież dawniej starsze społeczeństwo również nie promieniowało zbytnim optymizmem i napewno nie pomagało młodzieży więcej, niż to czyni obecnie.

Ewa Małachowska.

Jeszcze o „Radosności"[1]).

W artykule p. Studenta w Nr. 3 „Rodziny i Dziecka", będącego odpowiedzią na art. p. Małachowskiej p. t. „Radosność" w Nr. 2-m, uderzyła mnie nuta niezwykłego pesymizmu, niezwykłego dlatego, że przecie pisał to przedstawiciel młodego pokolenia.

Jeżeli to głos, charakterystyczny dla tego pokolenia, to może nam być tylko bardzo smutno. Młodzi, którzy wstępują w życie rozgoryczeni, zniechęceni i składający swój pesymizm na przewiny starego pokolenia — nie wiele zapewne wniosą do życia pierwiastków twórczych.

P. Student obwinia nas, starsze pokolenie, pisząc: „wpajacie w nas przekonanie o bezcelowości naszej nauki, wy mówicie nam, że przecie posad i tak nie znajdziemy, co najwyżej „posadziny", wy gasicie nasz zapał i wyzwalacie pesymizm". To prawda, że czasy są trudne, że wszystkim ciężko, że pesymizmu naogół jest dużo. Ale łatwiej zrozumieć go jednak u ojca rodziny, z trudem wychowującego dzieci, borykającego się z życiem na źle płatnej posadzie, niż u człowieka wstępującego w życie. Bo przecież ci dzisiejsi ojcowie rodzin studiowali w znacznie trudniejszych warunkach, na obcych uczelniach, bez takiej pomocy społeczeństwa, jaka dziś jest studentom okazywana. I w czasach, kiedy i c h „starsze pokolenie" drzemało w błogim oportunizmie — oni przełamywali mur kołtunerii, bierności, budzili do czynu. Prawda, że prowadziła ich idea zmartwychwstania Polski i że dziś, gdy stała się rzeczywistością, trudno przeciwstawić jej ideę tak wielką, którąby wszystkich mogła zgrupować. Ale dlatego nie będziemy przecie żałować czasów niewoli!

Wiemy, aż nadto dobrze wiemy smutną prawdę o warunkach, w jakich znajduje się młodzież akademicka. Wiemy, że „buty podarte, żołądki wygrywają żałosne trele, zaciska się pasek od spodni"... I wiemy, że *nietylko* młodzież akademicka znajduje się w takich warunkach. Drobni urzędnicy, obarczeni rodziną, w niewiele lepszych chyba są warunkach, jeśli podzielić ich skromną pensję na ilość członków rodziny. Ale studenci właśnie p o w i n n i mieć wiarę w przyszłość, bo jeszcze życie przed nimi i od ich indywidualnych warunków, wiary, rozpędu życiowego, wiedzy, inicjatywy — zależy, czy dokonają czegoś w życiu. Taka jest kolej rzeczy, tak przyzwyczailiśmy się uważać, pokładać nadzieje w młodym pokoleniu. Bo jeśli oni będą zgorzkniali niemal od kolebki — to cóż nam zostanie?

Wszyscy żyjemy do pewnego stopnia „z dnia na dzień". Czasy, kiedy można było popracować i zostać rentierem, minęły już i dla naszego, starszego pokolenia. „Dziś często ideowości nie widać (z małymi wyjątkami, nad którymi dyskusja wykraczałaby daleko poza łamy „Rodziny i Dziecka"), bo przy-

[1]) Patrz „Rodzina i Dziecko" Nr. 2 i 3.

kryta jest przez codzienny kołowrót zajęć i zabiegów, aby jakoś przeżyć dzień i gdzieś przespać noc", pisze p. Student. Wydaje mi się, że nie w tym jednak należy szukać braku ideowości. Bo idee rodzą się zwykle nie w sytości i dobrobycie. Cofnijmy się o pokolenie i dwa wstecz — do pokolenia twórców dzisiejszej Polski.

A może dość wielką ideą byłaby teraz nauka? Uczyć się, „czynić każdy w swym kółku co każe Duch Boży?" Cóż — kiedy uczelnie niemal więcej czasu są zamknięte, niż czynne... Wydaje się niekiedy, że ci młodzi ludzie nie dojrzeli do wyższej uczelni, nie dojrzeli do tego, by społeczeństwo otaczało ich taką opieką. Bo przecież wyprodukowanie człowieka z wyższym wykształceniem kosztuje społeczeństwo dość drogo.

I wtedy określenie p. Małachowskiej — młodzież „dopada" wyższych uczelni, wydaje mi się odpowiednie. Dopada — i chce zaznaczyć swoją „dorosłość", czyniąc to w sposób nie zawsze właściwy.

Nie potępiam jednak bynajmniej w czambuł młodzieży. Chciałam tylko odpowiedzieć p. Studentowi, że moim zdaniem, pesymizm młodego pokolenia nie jest winą wyłącznie starszych. Mam nadzieję zresztą, że głos jego nie jest opinią ogółu młodzieży akademickiej. *H. Piecz.*

GŁOSY RODZICÓW.

Kino i teatr w życiu młodzieży.

Jeszcze stosunkowo dość niedawno byliśmy świadkami tak wielkiego zainteresowania ogółu naszej młodzieży kinem, że zdawało się, iż zwycięży ono całkowicie teatr, wyprze go na drugi plan. Robiono ankiety w klasach, zwolennicy kina zawsze byli górą, gdy tymczasem wielbicieli teatru była nieliczna garstka.

W rozmowach nawet ze starszą młodzieżą zdarzało mi się często słyszeć takie uwagi: Nam młodym odpowiada lepiej kino, teatr wkrótce będzie przeżytkiem, was starsze pokolenie to pociąga, to wasze tradycje, tam są wspomnienia waszych wzlotów młodości. Nasze wzloty — to nie ciasne scenki i jakże ubogie wobec perspektywy kina dekoracje. Kino ma tak nieskończone możliwości, panuje nad przestrzenią i czasem, przenosi nas w tajemnicze światy, stwarza niedostępne dla ograniczonej techniki teatralnej sytuacje.

Nieśmiało myślałem, mówiłem: Tylko że teatr ma człowieka. Ma nie tylko jego głos prawdziwy, nie zniekształcony przez aparaturę, nie tylko spojrzenie, wyraz oczu bezpośrednio w przeżyciu. Co ważniejsze, ma oddziaływanie ż y w e g o człowieka, jego osobowości, bez każdorazowego pośrednictwa ekranu, ma w sobie specyficzny czar i niezwykły, niczem niezastąpiony wpływ na widza.

Ten żywy człowiek na scenie jest w kontakcie z żywym człowiekiem na widowni, który reaguje na grę aktora. Reagowanie widza — brawa, oklaski, wywołują wzmożenie się napięcia gry artysty. Inaczej grają aktorzy w pustym teatrze, inaczej w przepełnionym, inaczej dla rozentuzjazmowanej publiczności, inaczej dla obojętnej i sztywnej. W teatrze dopiero przy współudziale aktorów i publiczności osiąga się wysoki poziom sztuki.

Jakaż była postawa starszego pokolenia wobec szału kinowego młodzieży? Jedni poczęli rzucać gromy na „niemoralną rozrywkę", inni machnęli ręką na to, zaś „miłość" do kina uznali za oczywisty dowód głupoty dzisiejszej młodzieży. Istotnie — uczennice miewały całe kolekcje gwiazd ekranu, młodzież, nie znając nazwisk najwybitniejszych ludzi nauki i sztuki, umiała na pamięć litanie nazwisk aktorów filmowych i rzeczywiście każdą wolną chwilę używa-

ła na „pójście do kina". Ci, którzy krytykowali na tej podstawie kino, zapominali, że głupi znajdą się wszędzie i że takie ustosunkowanie się do kina nie przesądza bynajmniej, aby nie miało ono wśród młodzieży poważnych i mądrych zwolenników.

Inni wychowawcy wobec tak intensywnego „gustu" młodzieży do kina przyjęli raczej wyczekujące stanowisko. Jak się okazało, była to najlepsza metoda wychowawcza.

Kilka lat minęło. Podziwiamy imponującą dynamikę rozwoju kina, wyczekujemy coraz mocniejszych efektów. Zapewne, wskutek ulepszeń technicznych głos ludzki będzie coraz czystszy, obrazy plastyczniejsze, barwy prawdziwe i piękne.

Jednak stało się podobnie jak i z innymi zjawiskami w życiu. Nowa dziedzina ogarnia entuzjazmem wszystko dołoka, by z czasem znowu ustąpić miejsca nie mniej doniosłym, tylko że nie nowym zdobyczom twórczości człowieka.

I jakoś tak się samorzutnie właśnie dokonał renesans teatru w zamiłowaniach młodzieży. Jeżeli pozwalam sobie użyć tego ważkiego słowa r e n e s a n s, to czynię to po przemyśleniu wrażeń, jakich mi dostarczyły obserwacje stosunku młodzieży do teatru na podstawie warszawskich przedstawień abonamentowych dla młodzieży szkolnej[1]).

Abonamenty dla młodzieży szkolnej na teatralne przedstawienia istnieją w Warszawie trzeci rok. W pierwszym roku trzeba było młodzież zachęcać, namawiać, za mało było zgłoszeń, wyczuwało się pewną nieufność (nawet może wśród rodziców) do tej imprezy. W drugim roku zainteresowanie teatrem wzmogło się i już bez zachęty młodzież chętnie nabywała książeczki abonamentowe. W tym roku szkolnym ilość zgłoszeń przekroczyła podobno o wiele tysięcy ilość zaofiarowanych miejsc. Trzeba było młodzieży p r z e k o n a n e j, z d o b y t e j dla teatru, odmówić. Nie obyło się w wielu szkołach bez oburzenia, często w sposób dosadny wypowiedzianego. Były i dziewczyńskie łzy, ukradkiem, i siarczyste przekleństwa chłopaków i ogólne rozgoryczenie. W niektórych klasach urządzono losowanie. Tych, którzy nie dostali biletów, ogarniało szczere poczucie krzywdy.

Tu trzeba nadmienić, że książeczka abonamentowa na 10 przedstawień kosztuje 9 zł.

Mając styczność z młodzieżą w kilku szkołach, chętnie rozmawiam na temat jej rozrywek. Postaram się skreślić tutaj uwagi młodzieży o teatrze i kinie.

Wiele z młodzieży nie zna teatru, bo nie ma na niego pieniędzy. Rodzice wcześnie zaczęli prowadzić dzieci do kina, teatr był mitem, dostępnym tylko dla bogatych, gdzie trzeba się było ładnie ubrać i drogo zapłacić za bilety. Skoro więc rodzice nie prowadzili dzieci do teatru, to skądże się miała w nich ta miłość dla niego urodzić.

Co prawda, można powiedzieć, że dawniej również chodziła młodzież na „paradyz", ale właśnie wtedy nie mieli taniego kina, gdzie za tą samą opłatą można siedzieć na wygodnym fotelu w poczuciu swojego „pełnowartościowego obywatelstwa".

Kino ma szumną reklamę, piszą o nowym filmie w gazetach, rozwieszają fotosy. Teatr również umieszcza zawiadomienia o nowej sztuce, ale żeby zwrócić na nie uwagę, trzeba ich szukać, trzeba już przedtem nauczyć się cenić teatr, a kino wychodzi naprzeciw swojego widza, k r z y c z y reklamą.

[1]) Pożądanym byłoby, aby osoby, interesujące się stosunkiem młodzieży szkolnej do teatru, poinformowały ogół rodziców na łamach „Rodziny i Dziecka" jak ta sprawa przedstawia się w innych miastach, gdzie młodzież uczęszcza do teatru stałego lub objazdowego.

Jeżeli teatr zorganizuje coś sam (przykł. abonamentowe przedstawienia), wtedy dopiero widać, że młodzież interesuje się teatrem.

Kto bywa w teatrze tylko na przedstawieniach normalnych, a nigdy nie był na popołudniówkach szkolnych, dla tego dziwny się wyda widok teatru pełnego szkolnych mundurków. Teatr traci swą salonowość, swoją burżujskość i chłód. Z tego przybytku, gdzie trzeba się pięknie „ubrać", staje się miejscem wspólnego przeżywania sztuki. Nastrój jest ten sam, co na przedstawieniach amatorskich w szkole. Uczestnictwo widza w grze aktora bardzo żywe. Jeżeli aktor, pomimo to, że gra dla młodzieży, gra starannie, nie lekceważąc młodych widzów, jeżeli to jest wybitny aktor, brawa i przejęcie się sztuką będą tak wielkie, jak przy żadnej innej publiczności. — 17 razy kurtyna szła w górę, jak Solski grał Fryderyka Wielkiego — mówi mi chłopak z 7 klasy. Jakiż entuzjazm wywołał ten sam artysta w „Judaszu z Iskariotu" Roztworowskiego. I klaszczą tak wytrwale nie tylko po skończonym akcie, ale i w końcu przedstawienia, kiedy to dorosła publiczność (wiemy coś o tym) tak bardzo się śpieszy po palta.

Jeżeli czasem młodzież klaszcze w teatrze na t e m p a (rytmicznie cała widownia), t. zw. „rakietą", co wzbudza często sprzeciw opieki szkolnej, to jednak trzeba pomyśleć, że jest w tym trochę chęci wyczynu, wyładowania energii. Ale ta sama młodzież klaszcze w ten sposób na obozach, kiedy coś się uda, to jest dowód największego, wesołego uznania i aprobaty.

A jeżeli się gra nie podoba, to klaskać nie będą. Jeżeli coś bardzo się nie podoba, np.: wejście na scenę aktora, który uprzednio nie zyskał dla swojej gry uznania, budzi się niechętny, dość głośny szmer. Szczerze, bezpośrednio, bo młodzież jeszcze jest niewyrobiona towarzysko.

Aktorzy naogół nie wysilają się na szkolnych popołudniówkach. Opinia o nich u młodzieży zostaje. Jest to polityka krótkowzroczna, bo jednak ta młodzież to jest przyszła publiczność teatralna. Jeżeli teraz zobaczy, że aktor lekceważy ich, napewno nie odpłacą mu sympatią w przyszłości. Na inne przedstawienia nie chodząc, młodzi widzowie poznają danego artystę tylko od tej najgorszej strony. Już teraz, w trzecim roku przedstawień abonamentowych, są artyści kochani przez młodzież, inni zaś, czasem nawet wybitni, ale lekceważący szkolną publiczność, nie mają zupełnie uznania. Młodzież reaguje wybitnie na prawdę w stosunku do siebie.

Słyszałem od wielu chłopców i dziewcząt, że „Odprawa Posłów Greckich" nie gorzej byłaby grana przez uczniów w szkole, że taki chór nierówny byłby wygwizdany nawet w szkole.

Młodzież narzeka, że nie grają tych sztuk, które są zapowiadane podobno od trzech lat, np. Lilla Weneda, Nieboska Komedia, Hamlet i t. d. Autorytet organizatorów traci na tym, gdyż nikt już nie liczy się z repertuarem zapowiadanym. Zapewne poważne przeszkody nie pozwoliły na wystawienie tych sztuk. Jednak w stosunku do młodzieży lepiej nie obiecywać, jeżeli nie ma pewności, że się dotrzyma.

Powszechne niezadowolenie u młodych widzów wzbudza sposób wygłaszania słowa wstępnego. Młodzież chce wiadomości o autorze, o sztuce, a nie treści sztuki, którą za chwilę pozna sama. Nawet nauczycielstwo — jak słyszałem — nie bardzo aprobuje metodę, stosowaną przy tych przemówieniach, a szmer niezadowolenia młodych jest często aż nadto dosadnym wyrazem ich dezaprobaty. Część młodzieży nawet umyślnie spóźnia się, byle słowa wstępnego nie słuchać.

Jeszcze kilka słów o repertuarze dla młodzieży. Nie jestem fachowcem, trudno by mi było decydować, jakie sztuki powinny być grane dla młodzieży.

Wcale jednak nie zgadzam się z p. Kadenem - Bandrowskim, który przed kilku laty w swym odczycie dla rodziców powiedział, że nie ma specjalnych sztuk dla młodzieży, każda sztuka dobra jest tym samym dobra dla młodzieży. My dorośli, mając już mniej więcej ustalony pogląd na życie, krytycznie przyjmujemy wrażenia z zewnątrz. Młodzież dopiero kształtuje w sobie ten pogląd, musi go sycić tym, co przeżywa, a więc powinny to być ideały pozytywne, a nie rozterka i obalanie tego, co jeszcze nie zostało solidnie wybudowane. Czy słuszne jest dawanie pod dyskusję młodzieży cztenastoletniej (bo taka już chodzi na szkolne przedstawienia) problemów walki o sprawiedliwość społeczną, np. w „Weselu Figara" Beaumarchais zniesienia średniowiecznego prawa pana do nocy poślubnej swoich poddanych? Nie zaszkodziłoby mieć na uwadze hierarchii problemów, jakie dajemy młodzieży szkolnej do rozważania.

Jan Cz.

List z Krakowa.

Z taką przesadą ocenia się dziś wszelkie dodatnie czy ujemne zjawiska społeczne, że stosując się do przyjętego zwyczaju, powinnam napisać o wielkiej radości, jaka zapanowała wśród wszystkich rodziców krakowskich na widok wznowionego wydawnictwa „Rodziny i Dziecka". Nie znosząc jednak blagi i zakłamania powiem tylko, że ta garstka (sic!) rodziców, której nie obojętne są zagadnienia wychowawcze i usiłowania współpracy domu ze szkołą, ucieszyła się bardzo przywróceniem do życia pisma, które uważa za ciekawe i pożyteczne. Może z czasem, dzięki artykułom poruszającym tyle ważnych zagadnień pedagogicznych, powiększy się ilość rodziców, interesujących się poważniej i głębiej szkołą, może świat nauczycielski znajdzie wreszcie drogę, by tę współpracę domu i szkoły, o której tyle i od tak dawna mówi się i pisze, sprowadzić na tory realne. Nie trzeba bowiem się łudzić — sprawa ta postępuje niesłychanie powoli, a sądząc z głosów rodziców i nauczycieli na łamach naszego pisma, wszędzie napotyka na te same trudności.

Opieka materialna ze strony rodziców (komitety rodzicielskie) spełnia na ogół dobrze swe zadania (dożywianie dzieci, subwencje na czesne, kolonie, zakup podręczników czy sprzętu sportowego). Ludzie od wieków przyzwyczajeni do filantropii, najchętniej pracują tam, gdzie wysiłek ich daje natychmiastowe, widoczne i dodatnie rezultaty. Inna rzecz, gdy na terenie Patronatów klasowych trzeba okazać zainteresowanie dla zagadnień wychowawczych, wypowiedzieć się na temat istotnej współpracy domu ze szkołą, polegającej na uzgodnieniu ducha szkoły z atmosferą. Tu już trudno znaleść rodziców, którzy umieliby zająć pewne stanowisko i logicznie bronić swych przekonań.

Pracując od lat w Patronatach i Komitetach rodzicielskich (szkół męskich i żeńskich) zauważyłam z żalem, że rodzice bardziej wykształceni, kulturalniejsi, których uwagi mogłyby niejednokrotnie podnieść poziom dyskusji i poruszyć śpiące umysły innych, usuwają się (z małymi wyjątkami) zupełnie z terenu szkoły, a na zebrania przychodzą ojcowie i matki „dobrej woli", którzy pragną się sami czegoś dowiedzieć, a nic lub mało wnoszą nowego czy ciekawego, albo starają się sprowadzić dyskusję do spraw najbliżej ich obchodzących, dotyczących ich własnych jedynie dzieci. Przewodnicząca czy przewodniczący Patronatu muszą albo sami podnieść jakieś ważne zagadnienie i wyczerpać temat, albo zgodzić się na omawianie tylko bieżących spraw danej klasy.

Próba „Zespołu rodziców" (przy Zrębie) zawiodła po kilkunastu zebraniach, dlatego właśnie, że tylko mała grupka rodziców — jak zaznaczyłem — umie poruszać zagadnienie ogólno wychowawcze w oderwaniu od ciasnych zainteresowań, związanych nauką i wychowaniem tylko własnego dziecka i sprawami

jego szkoły, a właśnie „Zespół" składał się z rodziców dzieci różnych zakładów naukowych. Także odczyty dla rodziców cieszą się powodzeniem tylko we „własnych" szkołach. Wyjątkowo widzi się na odczytach (urządzonych zresztą często przez różne szkoły, organizacje nauczycielskie, czy Patronaty) rodziców z „obcych" szkół.

Obecnie największe zainteresowanie i niepokój budzi sprawa wprowadzenia w życiu po wakacjach liceów. Odbył się duży wiec rodziców, domagających się utworzenia w Krakowie liceum pedagogicznego, gdyż jak nas słuchy doszły, Kraków nie ma być objęty siecią liceów tego typu. W różnych szkołach i organizacjach społecznych odbywają się wykłady, zaznajamiające sfery rodzicielskie z rodzajami i programami liceów. Jest obawa, że będziemy mieć nadmiar kandydatów do typu humanistycznego, a stosunkowo małą liczbę (zwłaszcza dziewcząt) do liceum matematyczno-fizycznego i przyrodniczego. U nas w Krakowie tkwi tak głęboko zamiłowanie (może przyzwyczajenie, a może brak wyższej technicznej szkoły jest tego powodem) do wykształcenia humanistycznego, że trzeba będzie specjalną chyba robić propagandę celem skierowania młodzieży do liceów innego typu.

Teraz właśnie, gdy stoimy przed nowym etapem w rozwoju średniej szkoły, mieliby rodzice wielką rolę do spełnienia. Obserwować rozwój umysłowości i wykształcenia dziecka przy stosowaniu nowych programów nauczania, dzielić się wrażeniami z pedagogami, — wszak to jedyna możność wywarcia wpływu na ewentualną zmianę programu czy podręczników, gdyby okazały się nieodpowiednie czy szkodliwe. Niestety, ciągle jeszcze tkwi u większości rodziców obawa, że nawet rzeczowa krytyka jest „źle widziana" i może „szkodzić" dzieciom, że świat nauczycielski nie uznaje współpracy rodziców ze szkołą w ścisłym tego słowa znaczeniu, że chce mówić do rodziców, ale nie z rodzicami. Tego rodzaju wątpliwości wysuwają rodzice bardzo często, i w ten sposób usprawiedliwiają odsuwanie się od zebrań Patronatów. Jest rzeczą naturalną, że wśród pedagogów znajdą się i tacy, którzy nie widzą potrzeby wkraczania rodziców na teren dawniej im niedostępny i niechętnie patrzą się na „wtrącanie" się rodziców do spraw szkolnych. Nie można jednak uogólniać zbyt pochopnie i nie powinno jednorazowe przykre doświadczenie wpływać na ustosunkowanie się do całości zagadnienia współpracy domu ze szkołą.

Pismo „Rodzina i Dziecko" mogłoby stać się wolną trybuną wszystkich matek i ojców, którym leży na sercu dobro i rozwój nowej szkoły w Polsce.

Kraków, w kwietniu 1937.

Zofia Szydłowska.

WSPÓŁPRACA DOMU I SZKOŁY.

(Sprawozdanie nadesłane z Państw. Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy).

Powojenna szkoła polska coraz więcej uwagi poświęca sprawom wychowawczym, wychodząc ze słusznego zapatrywania, że dopiero właściwym wychowaniem poparte wykształcenie przygotuje ucznia do życia w społeczeństwie.

Obok Komitetów rodzicielskich istnieją dzisiaj w szkołach Patronaty klasowe, które w dużej mierze wraz ze szkołą współpracują nad wychowaniem dziecka.

Państwowe Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy postąpiło, zdaje się, o jeszcze jeden krok naprzód w tej sprawie, realizując próby organizowania nauczania i wychowania młodzieży w oparciu o naturalne grupy uczniowskie.

System ten, wprowadzony w 1934 roku w klasie I. A. nowego typu jedynie dla celów wychowawczych, objął w następnym roku i nauczanie, przyczem jest pro-

wadzony obowiązkowo w klasie II. A., a dla kontroli obserwacyj i w klasie I. B., w innych zaś klasach stosuje się go dobrowolnie, ale zauważyć należy, że chętnie.

Oparcie nauczania i wychowania o grupy naturalne młodzieży zrodziło potrzebę stworzenia dla grup uczniowskich, zbierających się dla nauki, zabawy, wycieczek, pogawędek itp., instytucji opiekuńczej z ramienia członków Patronatów klasowych. Każdej grupie przydzielono dobrowolnie przyjmującego na siebie ten obowiązek patrona (kę) grupowego, który bardzo często styka się z grupą, powierzoną jego pieczy, uczestniczy w jej zajęciach i obserwuje grupę.

Zazwyczaj grupy te zbierają się w towarzystwie patrona w jego domu lub w domu innego z rodziców, albo też w uczelni szkolnej czy też w klasie.

Patronowie grup porobili już szereg obserwacyj na temat zebrań grupowych, a spostrzeżenia ich, zebrane drogą ankiety, naświetlają wartość tego rodzaju współpracy domu ze szkołą na odcinku kształcenia charakteru w rodzinie.

Ankieta ta zawierała następujące pytania:

1) Czy młodzież chętnie zbiera się u patronów? 2) Czy zachowuje się na zebraniach swobodnie? 3) Czym się na nich zajmuje? 4) Jaka ilość młodzieży jest najlepsza dla pracy? 5) Czy zebrania grupowe w domu u patronów w sposób dodatni, czy ujemny przyczyniają się do wyrabiania takich cech charakteru, jak: a) poczucie obowiązku i przyzwyczajenie spełniania go, b) inicjatywa, siła woli i panowania nad sobą, c) dobroć serca i zmysł pojednawczości (zgody), d) godność podstawy i zachowania się, e) radość i optymizm, f) czy na kształcenie charakteru wpływają gry i zabawy, zajęcia praktyczne, drobne rzemiosła, ogrodnictwo, g) poczucie (zmysł) rodziny, h) poczucie solidarności i zmysł społeczny, i) poczucie odpowiedzialności.

Jeśli odpowiedź na te pytania jest pozytywna, to przez jakie zajęcia wyrabiają się te cechy charakteru?

6) Czy obserwowano rozkład grupy i na jakim tle? 7) Jak reagują grupy na egoizm pojedyńczych członków? 8) Czy występuje wyraźnie przodownictwo niektórych członków grupy? 9) Czy przodownikiem we wszystkich wypadkach jest ta sama osoba? 10) Na czym polega współpraca z grupą w czasie zebrań?

Na te pytania otrzymano następujące odpowiedzi:

1) Młodzież chętnie zbiera się u patronów grup dla nauki czy zabawy. Niekiedy, gdy przygotowanie wymaga specjalnych pomocy naukowych, zbiórki grup mają miejsce w uczelni szkolnej.
2) Na zebraniach grup zachowuje się młodzież swobodnie.
3) Podczas zebrań grupa zajmuje się przygotowaniem do lekcyj, toczy swobodne rozmowy koleżeńskie, urządza zabawy towarzyskie, oddaje się sportom.
4) Za najlepszą do pracy uznano grupę, złożoną z 5 do 6 uczniów(enic).
5) a) Zebrania grupowe wyrabiają poczucie obowiązku i przyzwyczajenie spełniania go dzięki wspólnej pracy naukowej i wzajemnemu oddziaływaniu.
   b) Inicjatywa, siła woli i panowania nad sobą wyrabia się przez podejmowanie prac dla grupy i chęć „postawienia się".
   c) Dobroć serca i zmysł pojednawczości (zgody) wytwarza się dzięki atmosferze, jaka ożywia dobrze dobraną grupę, na skutek czego pierwiastek uczuciowy występuje bardzo silnie.
   d) Godność postawy i zachowania się kształcona jest przez dążność do naśladownictwa.
   e) Wspólna praca czy zabawa w swobodnej atmosferze przyczynia się do budzenia radości i optymizmu wśród grupy.
   f) Gry i zabawy, zajęcia praktyczne, drobne rzemiosło, ogrodnictwo wyrabiają ambicję, spostrzegawczość, siłę woli, zmysł praktyczności.
   g) Odczuwanie miłej atmosfery prowadzi do poczucia zmysłu rodziny.
   h) Wspólna nauka, zabawa, budzą poczucie solidarności i zmysł społeczny.

i) Odczuwanie korzyści z zebrań grupowych, tj. interes zespołu, wyrabia poczucie odpowiedzialności.

6) Na tle różnych zainteresowań poszczególnych członków grupy lub wystąpień innej jednostki o charakterze przodowniczym zdarzały się wypadki rozkładu grupy.

7) Na egoizm pojedyńczych członków reszta grupy reaguje wymówkami, często jednak jest do tego stopnia bezwzględna, że stara się taką jednostkę usunąć poza nawias grupy.

8) Przodownictwo niektórych członków grupy występuje wyraźnie.

9) Chwilowo przy pracach grup występują jako przodownicy t. zw. specjaliści.

10) Praca patrona polega na doglądaniu prac, pomocy doraźnej a czasem systematycznej w nauce, na opiece wychowawczej poza szkołą, na obronie interesów grupy, na pośredniczeniu i kontakcie z wychowawcami.

Jak z odpowiedzi powyższych wynika, system takiej współpracy domu ze szkołą już w obecnym stadium tej pracy daje korzystne wyniki, ocenić zaś je napewno będzie można w najbliższej przyszłości po dłuższej obserwacji takiej współpracy.

BIBLIOTECZKI RODZICIELSKIE.

Coraz więcej Patronatów i Kół Rodzicielskich z Warszawy i z prowincji zwraca się do Redakcji „Rodziny i Dziecka" z prośbą o wskazówki, jak prowadzić pracę samokształceniową rodziców. U nas naogół mało czytają z dziedziny pedagogiki i psychologii dziecka, choć coraz liczniejsze odczyty i pogadanki, wygłaszane w szkołach, stowarzyszeniach, zarówno jak przez radio, przyczynią się niewątpliwie do zbudzenia zainteresowania ogółu rodzicielskiego tymi zagadnieniami, tak wielkiej wagi dla rozwoju przyszłych pokoleń.

W prowadzeniu pracy samokształceniowej rodzicielskiej nie należy się zniechęcać obojętnością ogółu: najlepiej może byłoby przełamać ją, organizując zebrania dyskusyjne nad aktualnymi zagadnieniami wychowania i nauczania. Na takie zebrania pożytecznie jest zaprosić wychowawcę lub kogoś z nauczycielstwa, dla poprowadzenia, a nieraz i zagajenia dyskusji, lub dla udzielenia wyjaśnień, tak ważnych dla współpracy rodziców ze szkołą. Takie dyskusje wciągają rodziców w zagadnienia pedagogiczne, pobudzają do zastanawiania się nad psychiką dziecka, do zaznajamiania się z literaturą w tej dziedzinie.

O ile wiedza psychologiczna i pedagogiczna potrzebna, a nawet niezbędna jest rodzicom, o tyle jednak trzeba zawsze pamiętać, że zbyt dosłowne i dogmatyczne stosowanie jakiejkolwiek teorii nigdy pożytku nie przyniesie, że każde dziecko wymaga indywidualnego podejścia, wymaga mądrego i serdecznego wniknięcia w całokształt jego sytuacji, warunków i rozwoju, i do takiego właśnie wniknięcia lektura ma nam być pomocą.

Podajemy poniżej spis książek, które mogłyby stanowić zaczątek biblioteczki rodzicielskiej, nie twierdząc jednak bynajmniej, żeby miał on być wyczerpujący lub ostateczny. W miarę zapoznawania się z wydawnictwami istniejącymi lub ukazywania się nowych, któreby się do biblioteczki rodzicielskiej nadawały, będziemy je omawiali na łamach naszego pisma.

Zawiązek biblioteczki rodzicielskiej, ze względu na jasne i przystępne podanie wiadomości o rozwoju psychiki dziecka stanowić mogą wydawnictwa Instytutu Higieny Psychicznej.

Wanda Ptaszyńska — Trzecie dziecięctwo, siódmy - jedenasty rok życia dziecka, Warszawa, „Nasza Księgarnia".

Rena Uzbańska — Dzieci nieuważne — Warszawa, „Nasza Księgarnia".
Irena Chmieleńska — Kara w wychowaniu — Warszawa, „Nasza Księgarnia".

Z wydawnictw pedagogicznych, które swą przystępnością i doniosłością omawianych tematów nadają się do biblioteczki rodzicielskiej, można dalej wymienić:

Brandstätter M. — Z doświadczeń rodziców i nauczycieli — Książnica - Atlas, Warszawa — Lwów.
Croner E. — Psychika młodzieży żeńskiej — Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa.
Croner E. — Nowoczesne wychowanie dziewcząt — Lwów, księg. R. Schweitzera.
Kreutz M. — Rozwój psychiczny młodzieży — Książnica-Atlas, Lwów—Warsz.
Ippoldt L. — Jak zachęcić dziecko do czytania — Książnica-Atlas, Lwów—Warsz.
Jeleńska L. — Sztuka wychowania — Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa.
Lisowski S. — Współpraca szkoły z domem — „Nasza Księgarnia", Warszawa.
Markinówna E. — Psychologia indywidualna Adlera i jej znaczenie pedagogiczne — „Nasza Księgarnia", Warszawa.
Męczkowska T. — Wychowanie seksualne dzieci i młodzieży — „Nasza Księgarnia" Warszawa.
Mirski J. — Współdziałanie młodzieży w pracy wychowawczej szkoły — Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa.
Rondthaler — Psychologia indywidualna A. Adlera jako metoda pracy wychowczej w szkole — Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa.
Rondthaler — Czego szkoła oczekuje od rodziców — Książnica-Atlas, Lwów—Warsz.
Szuman S. — Rozwój rysunku u dziecka — Wyd. „Bluszczu" Warszawa.
Suchodolski B. Kultura współczesna a wychowanie młodzieży — Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa.
Ziemnowicz M. — Rodzina a wychowanie państwowe — Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa.

Powyższe prace stanowiłyby I-szy stopień biblioteki rodzicielskiej. Są to przeważnie mniejsze broszurki, których czytanie absorbuje mniej czasu, niż studiowanie dzieł obszerniejszych.

Dla tych z pomiędzy rodziców, którzy pragnęliby pogłębić swe wiadomości z dziedziny psychologii rozwoju dziecka i zapoznać się z zagadnieniami pedagogiki i nauczania, polecamy następujące prace poważniejsze:

Baley St. — Psychologia wieku dojrzewania— Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa.
Binet Alf. — Pojęcia nowoczesne o dzieciach.
Bogdanowicz dr. — Fizjologiczne cechy wieku dojrzewania — Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa.
Dąbrowski dr. — Nerwowość dzieci i młodzieży — „Nasza Księgarnia", Waszawa.
Foerster F. — Wychowanie obywatelskie — Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa.
Kieffer F. ks. — Autorytet w wychowaniu domowym i szkolnym — Księgarnia Św. Wojciecha, Poznań.
Lechicka J. i Uklejska M. — Szkoła w życiu codziennym — „Nasza Księg.", Warsz.
Zienkiewicz W. — Psychologia dziecięctwa — Książnica-Atlas, Warszawa.

Z bogatej literatury pedagogicznej pominęliśmy tu dzieła zbyt trudne, zbyt specjalne, a także prace, których charakter nazbyt jednostronny mógłby wprowadzić pewną dezorjentację w kwestiach wychowawczych. Mamy tu na myśli szczególniej prace pedagogów ze szkoły psychoanalitycznej i kierowników pokrewnych. Nie zaprzeczamy bynajmniej wielkiej płodności i doniosłości teorii psychoanalitycznej dla naukowych badań psychologicznych, zdaje się nam jednak, i to na podstawie pewnego doświadczenia, że popularyzowanie tej dziedziny badań prowadzi niespecjalistów do nazbyt powierzchownych uproszczeń i uogólnień, które stać się mogą źródłem poważnych błędów wychowawczych.

SPRAWOZDANIA.

Z ZAGRANICZNEJ PRASY RODZICIELSKIEJ.

„Home and school“.

Kursy dla rodziców.

„L'Education”, francuski miesięcznik rodzicielski, w numerze listopadowym r. ub. podaje program kursu, organizowanego w Paryżu dla rodziców. Wykłady odbywają się raz na tydzień. Rok pierwszy obejmuje podstawowe wiadomości z dziedziny higieny i psychologii dziecka, wraz z ćwiczeniam praktycznymi, polegającymi na badaniu i analizie poszczególnych wypadków. Rok drugi obejmuje metody nowoczesnego wychowania (Décroly, Dalton itd.), ze zwiedzaniem szkół eksperymentalnych, oraz zagadnienia poradnictwa psychologicznego i poradnictwa zawodowego dla młodzieży.

„Promień słońca”.

Pod tą nazwą, czytamy w „L'Education“, istnieje we Francji instytucja, zajmująca się nawiązywaniem stosunków pomiędzy dziećmi opuszczonymi, a dziećmi z tych środowisk, które stać na udzielanie im skromnej choćby pomocy. Dzieci mogą adoptować takie dziecko opuszczone, wybierając je sobie według nadesłanych fotografij. Prowadzą z nim korespodencję, posyłając mu dary, otaczają je sercem i troską. Podobno w niektórych rodzinach takie „adoptowanie” staje się prawdziwym ewenementem i pupil bywa przedmiotem wzruszającej ofiarności dziecięcej.

To, co daje radość.

„L'Education” wiele miejsca poświęca na swoich łamach organizowaniu rozrywek umysłowych dla dzieci. Podaje tematy rozmów, opowiadań, podsuwa pomysły, jak ożywić przechadzki, budząc zmysł obserwacyjny, poczucie piękna, odczucie natury. Podane są śliczne i pełne poezji odpowiedzi dzieci na takie np. pytania. Do kogo podobna jest brzoza, topola, świerk, kasztan itd.? Albo kto powinien mieszkać w tym domu? Albo (przed wystawą sklepową): komu dałbyś ten kwiat, ten przedmiot itd.

Wychowanie dziecka, a wychowanie pieska.

W marcowym numerze „L'Education” Dr. de Fénis przeprowadza porównanie artykułu z czasopisma myśliwskiego o tresurze młodego pieska do polowania, a wychowaniem dziecka. Nauki nie trzeba zaczynać za wcześnie. Trzeba zyskać zaufanie pupila, głaskać go, przemawiać serdecznie. Tymczasem, gdy dziecko zaczyna się uczyć i rozwijać nieraz za wcześnie, (szczególniej we Francji), krzyczy się na nie, onieśmiela się je. Ucząc pieska, trzeba stopniować trudności, nie męczyć go, przerwać naukę, zanim nastąpi zmęczenie. Psa rasowego i wrażliwego nie można uczyć przemocą. Im lepszy pies, tym mniej uległy. A dzieci? Chcielibyśmy mieć stado potulnych baranków, a tymczasem najwrażliwsze, najbardziej wartościowe jednostki nie dadzą się wtłoczyć w ramy szablonu. Pies powinien aportować radośnie, a to osiągnie się tylko zachętą i dobrocią.

A dzieci? Autor cytuje wierszyki szkolne, wychwalające wakacje, ośmieszające „belfrów”. Zniechęcenie do lekcyj, nienawiść do nauki, oto, co robi rutyna z nieposkromionego dziecka, wrodzonego pędu do uczenia się, do naśladowania dorosłych. Gdybyż tyle staranności, przenikliwości, zmysłu obserwacyjnego i cierpliwego zrozumienia wnoszono do wychowania naszej młodzieży, co myśliwy do tresury swoich psów, kończy autor.

Współpraca domu i szkoły w eksperymentalnej szkole powszechnej na Węgrzech.

P. Nemesz, kierowniczka niezwykle interesującej eksperymentalnej szkoły powszechnej w Budapeszcie, która na kongresie Ligi Nowego Wychowania w Chelten-

ham wygłosiła cykl wykładów o swoich metodach nauczania, wprowadziła bardzo ciekawy system współpracy z rodzicami. Ci z rodziców, którzy mają trudności wychowawcze, opisują je w krótkim sprawozdaniu, które się powiela, i po zapoznaniu się z nim wszystkich uczestników zebrania klasowego, poddaje się dyskusji, prowadzonej pod kierunkiem wychowawców. Takie wspólne omawianie poszczególnych wypadków wprowadza rodziców w zagadnienia psychologii i pedagogiki i zachęca ich do szerszego zapoznania się z nimi, zawiązując jednocześnie bliski kontakt ze szkołą i z jej dążeniami wychowawczymi.

KONGRES DZIECKA.

W artykule p. Stanisława Dobrowolskiego p. t. „Kongres Dziecka" w Nr. 3 „Rodziny i Dziecka" na skutek przeoczenia drukarni i korekty opuszczony został ustęp, który poniżej podajemy, przepraszając Szanownego Autora i Czytelników za mimowolny błąd.

REDAKCJA.

Pierwszą, najbardziej uderzającą w oczy przyczyną braków dziecka, jest ogólne złe położenie materialne w kraju. Jeżeli setki tysięcy dzieci nie znajdują miejsca w szkołach powszechnych, jeżeli jest za mało u nas żłobków, zakładów opiekuńczych, przedszkoli, szpitali dziecięcych itd., jeżeli dzieci w domach rodzinnych głodują — jest to przede wszystkim wynikiem biedy w rodzinach oraz trudności budżetowych państwa, samorządów i organizacyj społecznych.

Do złego położenia dziecka przyczynia się następnie mała kultura społeczeństwa w zakresie pielęgnowania i wychowywania młodego pokolenia. Uświadomienie pod tym względem jest bardzo małe, a tradycyjne formy racjonalnego postępowania z dziećmi są na ogół ubogie, w przeciwieństwie do innych krajów j. np. Japonii; nie posiadamy języka dziecięcego ani w codziennym życiu, ani w sztuce, nie mamy poszanowania dla dziecięcego świata.

Z braku kultury wychowawczej wypływa niejednolitość postępowania z dzieckiem przez różne czynniki w społeczeństwie. Inaczej jest dziecko traktowane w rodzinie, inaczej w szkole, inaczej w sklepie, tramwaju czy na ulicy. Dziecko po jednej i drugiej nieoczekiwanej przykrości zatraca bezpośredniość i ufność, staje się dalekim i ostrożnym w stosunku do ludzi, a nawet złośliwym — z krzywdą dla niego, a następnie społeczeństwa.

Wreszcie źródła zła niedoli dziecięcej szukać należy w braku zainteresowania się dzieckiem, w braku stosunku uczuciowego do niego, sentymentu, że nie powiem miłości do dziecka.

Sądzę, że nie ma potrzeby rozwijania tej kwestii. Dla działaczy w dziedzinie pracy nad dzieckiem i ludzi wnikliwie patrzących w nasze życie społeczne, jest to prawda znana i nad wyraz bolesna.

Pozwolę sobie jedynie przytoczyć jeden z bijących w oczy przykładów obojętności społeczeństwa dla spraw dziecka.

Stowarzyszenie Uczestników Walki o Szkołę Polską, pragnąc stworzyć przychylną atmosferę dla podejmowanej akcji dziecięcej, postanowiło poruszać systematycznie w prasie zagadnienia związane z życiem dziecka. Zwróciliśmy się

do wielu literatów, dziennikarzy i działaczy społecznych z prośbą o artykuły z tego zakresu; artykuły, oczywiście, honorowane. Obietnic otrzymaliśmy dużo, ale artykułów niewiele. Wybrane artykuły wysyłaliśmy raz na miesiąc do pół tysiąca pism z propozycją bezpłatnego umieszczania ich. W rezultacie z przesłanego materiału korzystało zazwyczaj około 20 pism czyli 4%. Tłumaczono nam, że czasopisma niechętnie poruszają sprawy dziecięce, ponieważ czytelnicy nie interesują się nimi. Fakt ten jest bardzo charakterystyczny ze względu na ustosunkowanie się do dziecka zarówno świata piszącego, jak i ogółu czytelników.

Ten oto czynnik zainteresowania dzieckiem, wymieniony na końcu, wydaje się, że jest pierwszym pod względem ważności dla doli dziecka. Od czynników emocjonalnych w stosunku do dziecka zależą w dużym stopniu warunki, jakie się dziecku stwarza. W ubogich krajach nie zawsze położenie dziecka jest złe, gdy znów bogate państwa nie zawsze mogą się pochwalić wysoko rozwiniętymi instytucjami dla dzieci. W powojennej Austrii, obciętej i zubożonej, podziwiało się nadzwyczajną troskę o przyszłego obywatela, zdawało się, ponad możności budżetowe. Polka, zwiedzająca instytucje dziecięce w ubogiej dzielnicy Rzymu zdziwiona była doskonałym stanem i ubraniem dzieci. Usłyszała na to: „Włoch wszystko zrobi, aby jego dziecko miało potrzeby zaspokojone". Budżety zarówno państwowe, samorządowe, jak rodzinne, są elastyczne i przesuwają ciężar wydatków zgodnie z poczuciem ważności jakiejś sprawy.

Tak samo stosunek uczuciowy do dziecka ułatwia niezmiernie uświadamianie i wpływa dodatnio na poziom kultury wychowawczej społeczeństwa.

Na tym tle łatwiej da się zarysować charakter i organizacja projektowanego kongresu dziecka.

Wydaje się, że o ile trudno będzie Kongresowi pokusić się o dokonanie zmian w ogólnej naszej sytuacji ekonomiczno - społecznej, co pośrednio wpłynęłoby na poprawę w położeniu dziecka, o tyle Kongres może postawić sobie zadanie przesunięcia interesów dziecka bardziej na czoło polskiej rzeczywistości.

„MIGAWKI".

W szkole N. dyrektor na początku lekcyj w 8-mej klasie zapowiedział odrazu: „Nie róbcie mi paniki maturalnej, nie zauczajcie się po nocach. Trzy godziny dziennie pracy w domu plus praca sumienna w szkole, systematycznie, przez cały rok, wystarczy, aby dobrze zdać maturę. Nie róbcie z siebie bezsensownych męczenników, bądźcie normalnymi uczniami".

A w parę godzin po tym wszedł do 8-mej klasy nauczyciel matematyki i zanim jeszcze usiadł na katedrze, już grzmiał: „To ósma klasa, pamiętajcie! Kto chce zdać z matematyki, musi przynajmniej dwie godziny dziennie poświęcić tylko dla tego przedmiotu, inaczej nic nie zrobi. Matura! Pamiętajcie, to wielkie słowo! Zresztą... z was może pięciu zda z matematyki, tak mało umiecie. Pracować, jeszcze raz pracować!"

A na lekcji fizyki uczniowie usłyszeli od nauczyciela: „Nie chcę siać paniki wśród was, muszę wszakże zaznaczyć, że nie jesteście klasą, umiejącą zbyt wiele. Jednakże jestem zdania, że nie należy się przemęczać zbytnio. Co do mnie, uważam, że dwie, trzy godzinki dziennie posiedzieć nad fizyką to powinno wam wystarczyć. Więcej nie wymagam i nie chcę nawet. Musicie zdawać maturę przytomni i nie przemęczeni".

Potem jeszcze nauczyciel języków obcych żądał mało, jakąś godzinkę tylko pisać, no i czytać, czytać literaturę, bez tego nie zda się nigdy.

Umiarkowany w swych żądaniach nauczyciel łaciny radził ze trzy zdania łacińskie, (na ogół zdania łacińskie nie odznaczają się krótkością!) byle sumiennie, przez cały rok, to... chyba wystarczy...

Polonista? Nie był wymagający. Poprostu każdą wolną chwilę poświęcać lekturze i dał obfity wykaz utworów i autorów „koniecznych" i „pożądanych".

A jeszcze była historia, którą trzeba powtarzać, powtarzać od początku do dzisiaj, bo „dopiero wtedy utrwali się w głowach"!

Biedni uczniowie klasy 8-mej pochylili głowy w mozolnym obliczeniu, ile godzin trzeba dziennie poświęcić nauce. Wypadło... coś około 12 godzin plus szkolne zajęcia.

Co zrobić? Bo dzień ucznia klasy 8-mej okazał się... zbyt krótki. A dyrektor coś mówił o trzech godzinach, nie ślęczyć po nocach... Gdzieś daleko uleciały słowa dyrektora, pokryte groźną perspektywą długich, długich godzin mozolnego „wkuwania".

*

* *

Około półrocza, na zebraniu rodziców w jednej ze szkół żeńskich opowiadano sobie, jedni przez drugich, ile to godzin pracują dziewczęta nad przygotowywaniem się do matury. Pani Z. żaliła się na swoją córkę: „Przyjdzie ze szkoły, zaraz siada do lekcyj. Po obiedzie czyta lekturę obowiązkową. Potem znowuż się uczy i uczy. Oderwać jej nie można. Wygląda jak nieprzytomna, my wszyscy w domu jesteśmy ciągle zdenerwowani, ciągle pod grozą matury".

Pan K. zachwycał się z respektem: „Aż mnie podziw bierze, skąd moja Krysia bierze tyle siły, żeby się oprzeć pokusie i nie iść ani do kina, ani na wizytę, nigdzie dla przyjemności, tylko uczy się i uczy".

„Hala" codzień chodzi spać koło pierwszej, drugiej w nocy. Wygląda już jak zmora".

„A moja już też zaczęła uczyć się po nocach. Boję się, że zmizernieje, ale ona mi tłumaczy, że matura to najważniejsza rzecz, wszystko trzeba jej podporządkować".

Jedna tylko pani W. siedzi milcząca i czuje się zawstydzona. Już i odezwać się nie śmie wobec takiej wspaniałości pracy koleżanek córki. A jej Irka? Ano, uczy się te dwie godziny dziennie, trochę czyta i nic się maturą w ogóle nie przejmuje. Więc pani W. płonie rumieńcem zawstydzenia i siedzi cichutko, żeby jej tylko nie zapytano, jak tam Irka, czy bardzo pracuje? Bo tak się wyróżniać...

*

* *

Przyszedł ważny dzień. Dzień podpisania, z jakich przedmiotów kto zdaje maturę. W klasie 8-mej żeńskiej szkoły Y. zapanowało najpierw napięte nerwami milczenie, podczas którego jeszcze w myśli chwiały się postanowienia, przelatywały przez głowę projekty, nasuwały się wątpliwości, a nad wszystkim wisiała dziwna trwoga i lęk oczekiwania. I nagle... gdzieś z kąta rozległ się cichutki płacz, zawtórował mu inny, znowu inny i... rozszlochała się prawie cała klasa... Klasa, która uczyła się na ogół zupełnie dobrze i która za parę miesięcy miała otrzymać świadectwo dojrzałości...

A duszek klasowy, który z dawien dawna zamieszkiwał szczelinę między tablicą i ścianą i wiele ósmych klas widział w tym ważnym dniu, najpierw zaśmiał się cichutko, ale zaraz spoważniał i westchnął, że... bardzo nerwowa jest teraz młodzież 8-mej klasy...

„Iks".

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA DZIECKA W DOMU, W SZKOLE I W ŚRODOWISKU.

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH
opłacających prenumeratę zbiorową (od 10 egzemplarzy) wynosi 70 groszy za numer

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05-11

(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020

Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie w Warszawie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Warszawa, Nowy Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.